

Biblioteka Pedagogiczna CEN
nr inw.: KG - 2077



BC KSK / 2077

JULJUSZ SŁOWACKI

TRZY POEMATA

WYDAŁ I OBJAŚNIŁ

PROF. JÓZEF MAURER

WYDANIE DRUGIE

KRAKÓW
NAKŁADEM KRAKOWSKIEJ SPÓŁKI WYDAWNICZEJ

CENTRALNA BIBLIOTEKA PEDAGOGICZNA
przy K. O. S. B.
w Białymstoku

2077

884(09)A/Z+884-1

WSTĘP

I

SŁOWACKI PRZED WYDANIEM »TRZECH POEMATÓW«

Zawiadamiając matkę, że za dni kilkanaście wyjeżdża do Genewy, pisze Słowacki dnia 8 grudnia 1832 r.: »Potrzeba zmusza mnie do wyjazdu, więc i dobrze, że mnie w poetyczniejsze krainy posyła«. Na podrażnione nerwy poety poczęły spadać róże i fiołki wyobraźni... Opuszczał Paryż bez żalu, choć go »w jednym zgromadzeniu ziomków proszono na klęczkach prawie, ażeby został«¹, bo w owym mieście, jak pisze, »nic nie znalazłem przyjemnego, żadnego wspomnienia, oprócz chwili, w której przyniesiono mi pierwsze dwa tomiki poezyj«. Rzucił się w nowy świat, w krainę cudów i czarów przyrody, jako ów »pielgrzym tajemniczy«, który wędruje po świecie, »farby zbierając do dzieła«, ażeby znaleźć u celu wędrówki: Piękno i Świętość...

Jechał do Genewy w tej denerwującej duszę świadomości, że jest skazany »żyć bez uczuć, skazany, abym przez całe życie czekał sławy«²; że nie ma »žad-

¹ Genewa, 30 grudnia 1832 r.

Paryż, 22 lipca 1832 r.

ných przyjemności uczuć, tylko przyjemności wrażeń¹; z dumnym i jedynym może zamiarem, by »ciągnęłbym szturmem dzieł zdobywać sławę«². Ale z głębokim już zastanowieniem nad sobą i poniekąd samosądem: »...czuję, że uczucia moje są skrzywione, bo wstrząśniony smutkiem, znajduję w nim jakąś głupią poetyczną, egzaltowaną rozkosz. Darujcie mi jednak, bo ja w dzieciństwie kształciłem się tak, abym nie był podobnym do ludzi, a teraz dopiero pracuję nad sobą, aby być podobnym do człowieka«³. Jechał samotny sercem i duszą (»już się ani do miejsc ani do osób, z którymi żyję, nie przywiązuję tak silnie jak w dzieciństwie...«)⁴; z »nudą i zniechęceniem« w zboleł czasem istotnie sercu, które zobaczy nieraz »pustem«, a zgłodniałem »uczuć i szczęścia«. Głód poetycznych wrażeń każe mu nawet w szczerych, choć pewnie egzaltowanych listach matki widzieć cały ogrom »poezji smutku«, tak wielkiej, »że nikt, nikt z żadnych pisarzy do niej się nawet nie zbliżył«; nudzić się na świecie, jak na lichej paryskiej sztuce teatralnej, bo »ten świat nudny: zupełnie inny, niż wam się wydaje«⁵, i żyć jedynie w krainie marzeń: jej absolutny władca i niewolnik...

Zna jednak wartości życia i ciężące na sobie obowiązki względem ojczyzny, i niejednokrotnie ozwie się w duszy echo wyrzutów babki, na które odpowie w liście pisanym dnia 4 października 1832 r.; to echo, które usłyszysz potem w Genewie Lambro, gdy »miljo-

¹ Paryż, 26 maja 1832 r. ² Paryż, 30 lipca 1832 r.

³ Paryż, 4 października 1832 r. ⁴ Genewa, 30 grudnia 1832 r.

⁵ Paryż, 9 listopada 1832 r.

nowe patrzyły nań duchy: Czemuś nie skołał, gdy wszyscy konali?»

Życie przemawiało nieraz silnie, ale Słowacki był zrazu jednym z tych, którzy »życie mienili na sen gorączkowy, sen tak jasnymi grający barwami, że chwile życia — wydają się — snami, a sen szalony wydaje się życiem«. »Świat uczuć — pisze — zniknął dla mnie i przez kilka następujących lat żyłem w innym świecie poezji... w przeszłości...« Historia jego życia »będzie tylko prawie historją rozwijania się i formowania poezji«¹, bo, jak sam siebie określa: »nie jestem niczem innem, jak mojami poezjami«². Te zaś mówią:

Oto mój żywioł — ta ciemność ponura i t. d.³
oraz:

Wyście się po mnie wiele spodziewali,
Lecz miałem skute cierpieniem ramiona,
I wiecznie w tłumie zanurzony fali
Nie mogłem czoła wzniesić nad tłum — cierpiałem⁴.

A był to bezpłodny ból serdecznej pustki, idący z fatalnej wiary w prawdę nieprawdy koncepcji życia, którego nie starał się nawet poznać, bo je »puszczał mimo siebie«⁵, z rozmiłowania się duszy w projekcjach »chorej wyobraźni«. Ból, który rodził wrodzony smutek i pesymizm duszy, »właściwy — jak mówi — mojemu usposobieniu i czasowi«⁶, »jesienne usposobienie duszy«⁷, t. j. smutek »René'go Chateaubriand'a, który powiada, że musiał się zmniejszyć uczuciami i zmaleć, ile razy chciał, aby ludzie z nim obcowali«⁸; smutek

¹ Parvz, 22 lipca 1832 r. ² Paryż, 7 marca 1832 r. ³ Lambro, II, 12.

⁴ Ibid. ⁵ Genewa, 24 marca 1832 r. ⁶ Genewa, 18 grud. 1834 r.

⁷ Genewa, 27 paźdz. 1833 r. ⁸ Genewa, 28 września 1834 r.

Byrona, Malczewskiego i tylu innych ludzi, »będących obrazem naszego wieku«, których »dwoma głównymi charakterami« są »nuda i zniechęcenie«¹. W takim usposobieniu przybył Słowacki do Genewy i już 10 lutego 1833 r. donosi matce: »Lepiej mi jest w Genewie, niż w Paryżu«, a w rok potem: »Pobył w Genewie różni się zupełnie i spodziewam się, że utworzy obraz wspomnień najcichszy i najprzyjemniejszy«.

Istotnie: pobyt w Genewie jest okresem bardzo ważnym w życiu Słowackiego. To bowiem okres pracy, skierowanej ku temu, »abym — jak pisze — w sobie filozoficzną piękność wytworzył«², i aby »ciąglem usiłowaniem w drodze do wyższych marzeń«³ mógł dojść do nieznaney przedtem harmonji artystycznej w poezji i do możliwego dlań na teraz ideału człowieka w życiu. Poeta zdaje sobie doskonale sprawę z ważności i wielkości tej genewskiej pracy nad sobą, o czem świadczy list, pisany do matki z Florencji dnia 2 kwietnia 1838 r.: »Przy niej (księżnie Surveilliers) znalazłem dawną uszczypliwość w rozmowie i dziwi mnie to, bom sądził, że się już byłem pozbył na zawsze, przez pięć bowiem lat i więcej poważność jakaś zastąpiła była jej miejsce«.

Zupełna »przemiana« stanie się możliwa za lat kilka, nie wyobrażam sobie jednak, aby ona była możliwą, gdyby duch Słowackiego nie odbył roboty »w poświętej serca ludzkiego ciemnicy«, wpatrzony i wsłuchany w platońską muzykę sfer, jaka się niesła ponad białemi szczytami Alp, i w ową cudną »harmonją, która

¹ Genewa, 6 czerwca 1834 r. ² Genewa, 27 kwietnia 1834 r.
³ Genewa, 20 października 1835 r.

wszystko łączy i nalewa jednym kolorem«. Zapewne, Rzym i Krasinśki, Grecja i Egipt, a potem Ziemia święta, to dalsze i ostateczne ogniwa ewolucyjnego łańcucha, spojonego w żarze »idei nowej, rozwiniętej«, ale pierwszym, zupełnie ukształtowanym, bezsprzecznie Genewa, w której rolę »anioła stróża« spełniała przedewszystkiem przyroda, a potem Biblja i Kochanowski, Dante i Szekspir, i jego własny duch.

Przyroda, rzecz powszechnie znana, jak miękka, cicha ręka matki uciszała myśl i serce poety. »Piję wszystkimi zmysłami poezję wiosny i szwajcarskiego powietrza... Tu wszystko cichą przybiera barwę, nawet wspomnienia wielkich ludzi są wspomnieniami cichego życia«¹. Co więcej: poeta czuje, że »wśród takiej natury trzeba być smutnym, albo trzeba się kochać«²; potrzeba żyć bezpośredniością i prawdą żywych, czynnych uczuć: »w takim kraju potrzeba mieć tylko serce napełnione i spokojne«. Wie jednak, że on »ani jednego, ani drugiego nigdy w życiu« nie miał. Ale to nie jego wina. »Na mnie Bóg rzucił jakieś przekleństwo, na mojej drodze stawia mi lalki, zabawkę; serce moje żywie okruszynami uczuć i w moich uczuciach nic niema oprócz tej jakiejś nieskończonej niespokojności, bez rysów prawie, a którą jednak widzę wszystkimi zmysłami«³.

Winien temu Bóg czy Los, życie czy ludzie, imaginacja poety czy książki, z których nauczył się płakać i »zmarszczeniem brwi świat wstrząsać«, a nie mógł nauczyć się »nic nie zostawiać po sobie, czegoby mógł

¹ Genewa, 15 marca 1833 r. ² Genewa, 27 października 1833 r.
³ Ibid.

żałować«¹. W chwilach najszcześniejszych czy najspokojniejszych dobywała się nagle z mroków fosforyzującej imaginacji i kart czytanej książki niespokojność, »mająca jakąś twarz ludzką i bladą«, i odbierała »nagle smak pokarmom, które — poeta niósł — do ust«². »Wstaje — więc — nagle i chodzę, jak warjat«, powiada Słowacki, a wzrok jego pada na białe kwiaty wiosny, stojące w blaskach słońca, i znów ucisza się serce. »Sympatyzuję teraz więcej niż kiedykolwiek z naturą, i zdaje mi się, że czuję ją do głębi duszy« — donosi dnia 24 marca 1834 r.

Poczyna teraz »pić wszystkimi zmysłami« już nie poezję wiosny, ale jej prawdę i harmonję; uczy się jej i częściowo zdobywa. »Trzy miesiące spędzone pośród najpiękniejszych widoków przyrodzenia były wielką dla mnie nauką«³. Była to rewelacyjna lekcja, dana poecie i człowiekowi, który zrozumie konieczność harmonji w sztuce i w życiu i urzeczywistni ją narazie w poezji: w błękitnym i białym poemacie — *W Sz waj- carji*, i w pełnym prawdy uczuć i artystycznego umiaru *Ojcu zadżumionych*.

Poeta czuje i zdaje sobie sprawę z tego, że się w nim rodzi nowy świat uczuć i pragnień: »Ja teraz zmierzam do spokojności i wszystkie moje nauki i książki, których używam, zmierzają do tego, abym w sobie filozoficzną piękność moralną utworzył. Do tego już tyle w nauce postąpiłem, że czuję w sobie jakąś spokojność, natchniętą przez godność natury człowieka. Ze-

¹ Genewa, 27 października 1833 r.
³ Genewa, 20 października 1835 r.

² Ibid.

wsząd widzę, że ludzie bez wewnętrznej spokojności próżno się o zewnętrzną starają«¹.

Przyroda ma już nietylko »poić pięknoscią« oczy i wyobraźnię, ale nauczyć, »aby mieć na długo serce pełne myśli, rozplywających się w Bogu...« Toteż »nie uwierzysz, Mamo — pisze w tym samym liście — jak podróż przeszłoroczna wpłynęła wiele na wewnętrznego mnie, a jak ja często mówię: na wewnętrznego we mnie anioła. Zdaje mi się, że myśli moje odmłodziły«². On, który nie liczył się dawniej z »potrzebami« nikogo na świecie, czując tylko swoją »potrzebę« artysty, wyznaje, że »zniecierlił« swoje »pierwsze utwory«. »Czuję potrzebę większej doskonałości — dodaje — rozwinęło się we mnie jakieś nowe piękności uczucie. Nie wiem jeszcze, jak się ono przyoblecze w słowa, ale starać się będę, aby coś jasnego napełniało moje karty, aby więcej lez było w słowach«. »Uważałem harmoniją, która wszystko łączy i nalewa jednym kolorem. Postrzegłem, że sztuka powinna naśladować tę dziwną jedność wszystkiego. Zastanawiałem się długo nad drzewami, kwiatami, szmerem, różnemi dźwiękami natury, widziałem ją zbliżoną błękitną albo chmurną. Raz, wyszedłszy na wielką górę, pod nogami miałem wielki parów, zarosły sosnami, bardzo ciemny, przernięty potokiem. Było to w niedzielę rano. Dzwon kościoła wiejskiego, nadzwyczaj głośny i ponury, napełniał całe powietrze. Cały ten obraz ożywiony był duszą dzwonu, jak ciemny poemat, w którym brzmi imię Boga«³, tego Boga, który zażąda kiedyś rachunku.

¹ Genewa, 27 kwietnia 1834 r.
² Genewa, 30 czerwca 1835 r.
³ Genewa, 20 października 1835 r.

W odczuwaniu »tego« Boga uświadamia sobie, że jest »na coś potrzebny«, a jeżeli chciałby czegoś dla siebie, to chciałby »tylko mieć zupełną wolność głosznych marzeń«, bo »czemże ja byłbym, gdybym stracił te okienko duszy, przez który na świat patrzę i odzywam się do przechodzących pod domkiem moim ludzi«¹.

W stosunku do nich był dawniej zimny, obojętny, nie! — nienawidził *vulgus profanum*. Teraz, choć nudzi się z nimi i »niczego się nawzajem od ludzi dopytać« nie mogąc, powraca »zwykle zmęczony i pozbawiony« swoich »marzeń, bo rozmowa z ludźmi jest to [dla niego] pole, gdzie — jak się wyraża — ja moje złote myśli, moje samotne marzenia na zdawkową rozmianiam monetę i rozsypuję. Skutek ten sam, zawsze moja miłą własność tracę«² — ale, choć nie wie dlaczego, żal mu ludzi. Dziękuje Bogu, że na jego »drodze nie rzucił wszystkich serc z kamienia«³, ale zarazem czuje, że »nie mam nikogo, co by mi najmniejszą chwilę życia przyjazną rozmową skrócił, nikogo, co by mnie przyjaźnie za rękę ścisnął«⁴. Wie jednak, że to »wina — jego — odludnego życia, вина miejsca, w którym żyję«, a nakoniec, że ma »w sobie coś, co tak na ludzi działa, że nigdy — z nim — spoufalić się nie mogą«⁵.

Samotność »materjalna« i duchowa, tak dawniej wprost ukochana i szczęście dająca, teraz staje się bolesną: »Ale jestem bardzo samotny, bardzo samotny«, płacze, i czuje, że »samotność tak zupełna, jaką — ma — teraz, zła jest dla człowieka«⁶. Głęboka już za-

duma i refleksja nad sobą każe mu uchwycić prawdziwy, głębszy jej powód i wyrazić go jako nieumiejętność poznania »głęboko serca ludzi«¹.

Wzrasta jednak świadomość własnej wartości. Czuje, że idzie »nieznany i smutny«, ale jest pewny, że »kiedyś może powiedzą ludzie, że wart — był — własnego domku, ogrodu i kilku przyjaciół«², bo czuje w sobie duszę samotnego orła, króla ptaków, »co śpi na igłach śniegu, nie budząc się kiedy wichur obrywa pióra, co nie ma przyjaciół i szczęśliwy, że sam... patrzy na słońce...«³.

Świadoma siebie dusza wielkiego samotnika wie, że »trzeba lecieć, gdzie wiatr mnie powieje i modlić się u Chrystusa, aby — mu — kiedyś dał ciszę i spokojność«⁴. niespokojna narazie dusza poety będzie tęsknotą wyczarowywać Chrystusa, którego »postać spokojną«, »choć bardzo cierpiał«, będzie stawiała przed nim »na błękitach fali, z głową otoczoną promieniami«, i będzie szukać nadziemskich natchnień i piękności, której narazie z siebie dobyć nie umie.

Ale raz po raz wraca »dziwny — dla niego — fenomen, ta oziębłość dla wszystkiego i wszystkich«⁵. Zdobywana z takim trudem spokojność łamie się i rozpryska, bo »jakiś wulkan zaczyna wybuchać« i serce jego znów się napęcza jakimiś nieograniczonymi zachceniami, i znów — musi »pracować, aby się stać panem«⁶ swej duszy. Któż nie dosłyszysz echa tych walk duchowych w *Anhellim*?

¹ Genewa, 20 paźdz. 1835 r. ² Florencja, 2 stycznia 1838 r.

³ Genewa, 20 sierpnia 1834 r. ⁴ Genewa, 5 lutego 1835 r.

⁵ Ibid. ⁶ Veytoux, le 23 Août 1835 r.

¹ Genewa, 20 października 1835 r. ² Ibid.

³ Genewa, 30 czerwca 1835 r. ⁴ Bayrut, 19 lutego 1837 r.

⁵ Florencja, 19 maja 1838 r. ⁶ Florencja, 3 października 1837 r.

Jak zielone, fascynujące oczy węża nęci go i hipnotyzuje, mimo wszystko, świat i ludzie, a zwłaszcza bezwzględne fatum-przeznaczenie: sława, o którą modelł się w dzieciństwie, i które przez większą część jego życia będzie gasiło przed oczyma każdy blask i zabijało w sercu każde uczucie. Pragnienie i wyczekiwanie jej będzie niewysychającym źródłem jego mąk: »Biada wielka, że mój ojciec, kiedy mi dał życie, zajęty był nadto swoją tragedją *Mindowe* i tobie, kochana Mamo, musiał nią głowę nabić. Bez tego nie-szczęśliwego wydarzenia byłbym wcale do rzeczy człowiekiem, nie lunatykiem, nie pośmiertno-chodzącym«¹. Zjawiający się w mglistej perspektywie czasów pośmiertnych olbrzymi anioł sławy rzucał ogromny cień skrzydeł na teraźniejszość i każdą jej wartość: »Biada tym, którzy zasmakują w błędnym życiu na świecie i przywykną do nadziei znalezienia czegoś dobrego na końcu wędrówki. W oczekiwaniu takim wszystko teraźniejsze niesmaczne«². A kiedy mgła pocnie się zgęszczać, serce poety zapłacze boleśnie: »bo też ja prawdziwie biedny jestem! Ani teraźniejszości, ani złotej nadziei«³.

Zdobyć ją jednak musi, i wie, że zdobędzie, bo się porwie »jak gladiator« do walki z ludźmi. »Walka z obojętnością ludzi« daje mu szczęście, bo »podobną jest do walki tytanów... rzuca — mu — na czoło wielkie światło piorunu«, które daje mu pewność, że będzie »pięknym kiedyś«⁴. A będzie to piękność nie tego posagu, któremu »lampy brak«, ale klasyczna piękność

¹ Genewa, 7 listopada 1834 r.

² Ibid.

³ Genewa, 18 grudnia 1834 r.

⁴ Genewa, 24 maja 1835 r.

Wenus Medycyjskiej i nieśmiertelność zdobytych olbrzymią pracą ducha — Idei. Bohaterska Grecja z Leonidasem, Egipt z piramidami i Wschód z Chrystusem i nowymi źródłami Piękna rozplómienną lampę, którą zapaliła Szwajcarja, że będzie świecić w »długie narodowe noce«, aby rozprószyć mroki zwątpień i ułatwić duszom poznanie i zdobycie istotnej prawdy życia.

W takich nastrojach duszy pisał Słowacki lub kończył cały szereg utworów we Florencji, gdzie osiadł na pewien czas po podróży na Wschód, — i wysyłał je kolejno do Paryża. Po *Anhellim*, ogłoszonym w r. 1838, wydał w r. 1839 *Trzy poemata*, które utworzyły trylogję bólu czy smutku. Nie wiem, czy Słowacki wydał je razem z tego właśnie powodu, bo przecie poematem bólu jest także choćby *Anhelli*. Wydał je razem prawdopodobnie dlatego, że były w ścisłym tego słowa znaczeniu — »poematami«.

II

ROZBIÓR PSYCHOLOGICZNO-ESTETYCZNY
»TRZECH POEMATOW«¹

1

»W SZWAJCARJI«

Jeżeli zważy się, jaki jest stosunek Słowackiego do przeszłości, teraźniejszości (jemu współczesnej) i przyszłości, stanowiących czy materiał poetycki, z którego

¹ Dalszy ciąg uwag znajdzie czytelnik w objaśnieniach, dodanych do każdego z poematów.

wyobrażenia snuła swoje tęczowe lub błyskawicowe przędze, czy jego duszy właściwy kąt patrzenia na życie i ułożenie swego do niego stosunku (tak jasno on określony na tyłu miejsca listów do matki), i jeżeli nadto — co równie bardzo ważne — przypomni się i jego własnymi zeznaniami poprze, że kochać, choć chciał, nie umiał, czy nie mógł, to tem samem rozwiąże się zasadnicze pytanie: czy poemat *W Szwajcarji* jest poematem miłości rzeczywistej, czy »marzonej«, pośrednio zaś także, kiedy mógł powstać i powstał.

W liście do matki, pisanym dnia 30 grudnia 1832 r., powiada o swoim pobycie w Genewie, że »utworzy obraz wspomnień najcichszy i najprzyjemniejszy«, a nieco później doda: »prawdziwie, że źle ulepione serce człowieka: przeszłość nie powinna nam się piękniejszą wydawać niż była«¹. »Wszystko — zaś — co zniknęło w przeszłości, pisze 18 grudnia 1834 r., ma dla mnie teraz anielską twarz i anielski głos«.

Już zaś w Paryżu stwierdzał dnia 20 października 1831 r., że »wojaż bardzo wiele daje wyobrażeń, szkoda tylko, iż wszystko ukazuje mniej pięknem, jak było w imaginacji, i potem zostaje w pamięci dwa obrazy: jeden taki, jaki być powinien, oczami wymalowany, drugi piękniejszy, dawniej utworzony przez imaginację. Kiedyś utworzy się trzeci i najpiękniejszy z imaginacji i sennego przypomnienia i połączy w sobie wszystko najpiękniejsze z tych trzech obrazów«. I dziwił się: »Nie pojmuję, jak Byron mógł pisać na miejscu«.

Fakt więc rzeczywisty, jeśli się będzie miał stać

¹ Genewa, 30 listopada 1833 r.

materiałem poetyckiego odtworzenia, będzie zawsze tylko kanwą, na którą rzucać pocznie wyobrażenia złoty haft ludzi i obrazów, przeświecający poprzez misternie narzuconą mgłę »sennego przypomnienia« przeszłości; ona zaś, jak wiadomo, ma dla Słowackiego »anielską twarz i anielski głos«. Z tego też właśnie powodu »bohaterka« poematu *W Szwajcarji* »zniknęła jak sen jaki złoty«, a może »z tęczy wyszła i z potoku piany«, i poeta nie wie, dlaczego jego dusza »nie wylatuje za nią do aniołów«.

Takiego zaś faktu, jaki stanowi treść poematu, w rzeczywistości, w życiu Słowackiego nie było. Drobiazgi, szczegóły rzeczywiste wyolbrzymiła nadludzka wyobraźnia poety i złączywszy je ze szczegółami, które wytworzyła sama, czy przejęła częściowo z lektury, stworzyła obraz ten najpiękniejszy, trzeci — »z imaginacji i sennego przypomnienia«. Nie troszczyła się zaś najzupełniej o materialną jego prawdę, bo jej na niej zgoła nie zależało.

Jest to więc istotnie »miłość marzona«, poemat o miłości, a nie — poemat miłości, jak np. IV część *Dziadów*, bo Słowacki naprawdę nikogo, prócz matki, nie kochał. Miłość ta zresztą, to zupełnie inne uczucie, naturalne oczywiście, równie jak miłość mężczyzny do kobiety, ale wolne od konieczności ofiarowania siebie na rzecz osoby drugiej. Jeszcze z Florencji pisze do matki dnia 3 stycznia 1838 r.: »chciałbym się kochać, ale nie mam w kim«, jakkolwiek miłość do Ludwiki Śniadeckiej »pierwszą i ostatnią była, I najsilniejsza z uczuć, uczucia przeżyła«.

»Bohaterką« więc poematu nie jest żadna z kobiet,

które spotykał w życiu i które chwilowo zdawały się być wcieleniem jego »marzeń«, »pieśnią« jego życia. Ani więc Ludwika Śniadecka, ani Marja Wodzińska, ani też żadna (osobiście!) z »Nimf Niagary, podobna do tych widm, które Manfred wywoływał z tęcz nad wodospadami...«¹, i które »coś czystego« miały w »charakterze«, co je »zbliżało do Nimfy mitologicznej i do Najady, której mieszkaniem są strumienie«², ale wszystkie razem, połączone w obrazie »sennego przypomnienia« w jedną imaginacyjną postać, »tak pełną w sobie anielskiego świtu« i »rozwidnioną źrenicą z błękitu«.

Ale chociaż poemat nie jest wyrazem rzeczywistej w realnych szczegółach miłości, choć go jak »żadnego chyba utworu nie można scharakteryzować tak całkowicie jednym wyrazem: poezja«³, — jest jednak marzeniem o niej, przeżywaniem jej jakoby — w marzeniu, stwarzaniem sobie wyobraźnią i oddawaniem się przez nią temu uczuciu, którego życie wydobyć z serca nie mogło. I może serce, lecąc na skrzydłach marzenia, tęsknoty i wyobraźni, nie w pełnym świetle sobie współczesnej teraźniejszości, ale w błękitnych mgłach przeszłości, uwierzyło na chwilę w prawdę... marzenia.

Poemat cały ukończony został z pewnością po wyjeździe Słowackiego z Genewy i Szwajcarii. Wykazuje zaś tak nadzwyczajną głębię i prawdę psychologiczną i taką mistrzowską subtelność i pewność symbolicznego rysunku, że, chociaż bezsprzecznie jest obrazem miłości »marzonej«, jest zarazem obrazem intuicyjnie odczutej miłości rzeczywistej, ujęciem w formę dramatu

¹ Florencja, 2 stycznia 1838 r. ² Florencja, 10 lipca 1838 r.
³ J. Kleiner, *Juliusz Słowacki, Dzieje twórczości*, T. II, str. 131.

»wyobrażenia ogromnej miłości, niepodobnego do osiągnięcia«. W jaki zaś sposób stać się to mogło, to już jest tajemnicą genjuszów.

Ustęp pierwszy, to jakby odwrócenie oczu poza siebie, podobne do tej bolesnej »retrospekcji« *Ojca zadżumionych*, zawartej w jęku:

O! niewiadoma ta boleść nikomu,
 Jaka się w mojem sercu dziś zamyka!

z odpowiednią naturalnie różnicą natężenia uczuciowego; to jakby westchnienie rozrzuconego żalu i tęsknoty za kochanką, która »zniknęła jak sen jaki złoty«, bowiem widzeniem sennem była marzenia, złotą i białą zjawą rozkochanej wyobraźni. I jako sen znikła w pełnym świetle refleksji, czy — kiedy zgasły tęcowe blaski wyobraźni, ubierające postać kochanki w światło i wiśnie i róże...

Tę nierealność zjawy, serdecznego krzyku wyobraźni człowieka i artysty, podkreśla poeta dwa razy, w drugim zaraz ustępie, mówiąc wyraźnie:

Tam ją ujrzałem! i wnet rozkochany,
 Że z tęczy wyszła i z potoku piany,
 Wierzyć zacząłem i wierzę do końca. (w. 19—21)

i nieco później:

Bo się lękałem, że jak widmo blade,
 Nim dusza ze snu obudzona krzyknie,
 Upadnie w przepaść, w tęczę i w kaskadę,
 I roztopi się i zgaśnie i zniknie. (w. 31—34)

Nic zaś dziwnego, że ten wymarzony sercem i wyobraźnią ideał-bóstwo wywoływał jak Manfred z »tęcz nad wodospadami«, że je jak alabastrową, oży-

wioną pocałunkiem twórcy statwę stawiał na tle kaskady,
 »gdzie Aar wody błękitnymi spada«, bo rozmarzonej
 wyobraźni poety zjawił się ten błękitno-biały ideał
 »pod jasną tęczy różnofarbnej bramą«. Wyczarowała
 go dziewicza piękność natury szwajcarskiej, która od-
 dała mu swoje barwy i blaski, na które smutek poety
 rzucił delikatny woal sennego rozmarzenia i brylantowo-
 białą mgłę swych łez...

Piękno prześwieca przez łzy; »gór nadalpejskich
 śnieżysta dziewica«, ubrana w księżycowo-biały we-
 lon rozmarzenia poety. I to jest ta harmonja, która
 »wszystko łączy i nalewa jednym kolorem«. Że zaś
 uczucie poety obudzić się mogło tylko przez piękno
 i tylko dla piękna, więc:

Gdy oczy przeszły od stóp do warkoczy,
 To zakochały się w niej moje oczy;
 A za tym zmysłem, co kochać przymusza,
 Poszło i serce, a za sercem dusza. (w. 25—28)

»I tak się zaczął romans prędko klecić« bo tej
 baśniowo cudownej kochance dodawała piękna bajecz-
 nie piękna przyroda i bajecznie bogata wyobraźnia poety.

Miłość objawiła się naprzód uśmiechem, słodkim
 i ciepłym jak pierwszy promień słońca na wiosnę:
 »Najpierwszy uśmiech jej przyleciał do mnie«, »a gdy
 zobaczył«, że oczy mężczyzny poczęły wchłaniać go,
 jak wchłania ciepło słońca spragniona pierś kwiatu,
 już pragnąca, choć jeszcze nieświadoma treści pra-
 gnienia, »całą jej białą twarz zamienił w różę...«

Miłość wiosenna, »bez wstydu i grzechu«, która
 z kochanki czyni »jeziora błękitnego panią«, a męż-
 czyźnie pozwala prawie »z duchami się bratać, chodzić

po wodach i po niebie latać« — i cały świat każe oglądać
 przez czarodziejskie szkła cudownych i szczęśliwych
 złudzeń, że jest królem, chociaż jest tylko niewolnikiem:

I mogła była, co chce, zrobić ze mną.

Przezyste uczucie zachwytu i czci, przypinające ko-
 chance anielskie skrzydła do ramion; uczucie, któremu
 nawet głośne wyznanie wzajemności wydaje się zrazu
 »płochością«, przerwaniem ciszy i świętości rozmodle-
 nia, ażeby potem — prawem natury — rozpętać burzę
 uczuć i »łono rozerwać uśmiechami« pierwszych, jesz-
 cze nieuświadomionych jasno pokuszeń zmysłów...

Już się poczęło w duszach wielkie misterjum mi-
 łości, wyznanej i powtarzanej słowami, a jako pierw-
 sze wyznania — onieśmielające wzajemnie, chociaż
 nachylające ku sobie ramiona w gorący, mocny uścisk
 i zbliżające usta, spragnione pocałunków... Życzliwa,
 bo zbliżająca — i »niewierna«, bo oddalająca fala, nad
 którą stali, symbol może tajemniczych czarów przy-
 rody, odbija w swoim zwierciadle parę zakochanych
 w sobie przezczystych aniołów (»zmieszła niby anioła
 z aniołem«), ale łącząc ręce i usta, rozbudza ludzi,
 którzy pragną...

Zmysły poczęły rozpalać się wcześniej w dziew-
 czynie... Odczuwając instynktownie wrażenie czaru,
 jakie sprawia w lodowej grocie, dokąd zaprowadziła
 kochanka, i broniąc się przed niem, »cała się szatą
 zakryła zazdrośnie«, a taka była cudna w swojej pło-
 nącej niewinności, »tak nieruchoma stała«, jakby w ocz-
 kiwaniu złotego błysku, że poeta modlić się zaczął:
Ave Maria!

Ale czar rośnie... Młoda krew poczyną różowie silniej białą pierś róży »odemkniętej«, która zachwycała już z oczu mężczyzny tego ognia, jaki rozpalila sama. Więc:

... zamyślona odwróciła głowę
Palec na ściany kładąc kryształowe,
Jak ta, co imię ukochane kryśli,
Lub o błękitnych jakich myślach—myśli, (w. 153—156)

czując, jeszcze nieświadomie całkiem, że miłość obejmuję ją całą płomieniem.

Mistrzostwo Słowackiego w intuicyjnym wnikięciu w powolne budzenie się kobiety i mężczyzny, w subtelne i delikatne płomienienie się krwi od różu rumieńca do purpury pragnienia, i oddanie tego duchowo-fizycznego przejścia zapomocą jemu właściwych barw, z których każda staje się tonem muzycznym,—niepodobne do określenia.

Wspomnienie przeżytej chwili szczęścia tak żywe, że przeszłość zdaje się być teraźniejszością; postać kochanki, zaklęta marzeniem, tak zda się rzeczywista, że kochanek poeta zwraca się do wywołanego wyobraźnią białego widma i przeżywa bezpośrednio przeszłość w teraźniejszości, aby z niej snuć tęczową nić przyszłości. Kochanka — zwycięża poeta, którego odrywają od ziemi alabastry śniegów, tęczowe migoty Jungfrau, jeleni i orły i chmury, a w razie ewentualnego nieszczęścia dająca mu szczęście wiara ludzi:

... że nas wzięły duchy
I gdzieś w niebieskie uniosły lazury,
Żeśmy się za gwiazd chwycili łańcuchy
I ulecieli z Pelejad gromadą, (w. 177—180)

szczęście, idące z przeświadczenia zupełnego z ludźmi rozbratu.

Lecz wraca smutna świadomość przeszłości, a z nią uczuciowa i artystyczna muzyka wspomnienia i marzenia, której zasadniczym tonem: szczęście i piękno. A głównie piękno, tak ogromne, że:

... tego nawet śpiącym nie odsłonić,
Ani pokazać, ani zawrzeć w słowie... (w. 194—195)

Szalet w parowie zmienił się w pełną róż i słowików świątynię miłości, chronioną dotąd od pokus białymi skrzydłami anioła stróża...

Ale namiętny czar przyrody tak był silny, że pewnego razu »rankiem — pod kaskadą«, podczas czytania książki pełnej łez, kochanek poeta, choć »nie wie dotąd, jak się wszystko stało«, porwał w ramiona kochankę i począł usta różane całować. Zatrzepotało złękniote serce dziewczyny, jak serce złapanego ptaka, ale poddało się słodkiej pieśszczocie.

Wtem nagle — w jasnej kaskady warkoczach
Coś pomięszało się i coś urzekło. (w. 216—217)

Na rozpalone twarze rzucił wiatr »całe wodne piekło« i różany czar zmysłów prysnął...

Samotność we dwoje, dotąd tak słodka i szczęśliwa, zaczynała ciężać. Dziewczyna stawiała się:

Smutniejsza, cichsza i bielsza i bledsza (w. 222)
I jaskółeczek utraciła zwinność. (w. 233)

Niepokój duszy dziecka-kobiety, które czując nadchodzącą burzę, drży i chce się przed nią obronić, wyidealizowany kilku rysami i barwami twarzy i wyrażającymi niepewność ruchami rąk i głowy z niezwykłą

prawdą psychologiczną, podobnie jak głęboko prawdziwym, w nieporównanie delikatną a ważką symbolikę ujętem — obudzenie się niezupełnie jeszcze skoncentrowanej erotycznej świadomości mężczyzny, który zobaczył, że »lilijowa wnet łodyga pękła«,

A jam rozważać zaczął z twarzą bladą,
Jak ten kwiat kruchy, jak ty jesteś zwinna. (w. 255—6)

Pocałunek, chociaż niewinny, rozpalil zmysły kochanki. Poczęła »płonać«, nie wiedząc — że płonie«. Żar rozbudzonej krwi różowił i w coraz szybszy ruch wprawiał liljową falę dziewiczych piersi, a od ich żaru poczęły więdnąć turkusy bławatów i szafiry oczu stawały się większe i głębsze...

Błyskawice nieopanowanych świadomością pragnień zapalały się raz po raz fosforycznymi zygzakami niejasnych przeżyć, które niewinność starała się ściszyć i zgasić »rozżaloną« skargą, szeptaną gwiazdom i kwiatom... Lecz »lilijowa wnet łodyga pękła«, bo »burza była gromami czerwona I w grocie z kaskad kryształu zasłona«.

Delikatność malarsko-muzycznego odtworzenia burzy zmysłów — właściwa Słowackiemu, który jeszcze z Paryża pisze do matki dnia 30 lipca 1832 r.: »Dzięki ci, Boże, że się nie wyzuł z dziecinnego wstydu, że nie jestem rozwiązły«. Wspomnienie tego przełomowego faktu, ujęte w formę pełnego żalu pytania, czy kochanka, która »z tych była. co się skarżą matkom«, skarży się teraz aniołom niebieskim? »O nie mów ty tak aniołom, niebieska«, szeptła poeta pełen żalu, bo twoja piękność i twoja łza »jednemu będzie z tych

jasnych pożarem«, boś ty piękniejsza i droższa niż gwiazdy i niebo, bo twoja piękność to pokuszenie nawet nad siły anielskie.

Cudowna pieśń rozkochanych oczu i ust przzerwana!

Wychodzą oboje z groty cisi, jak wychodzili z raju Adam i Ewa, i kochanka dziwi się, że świat ten sam i taki sam, jak przedtem. Sądziła, że jeśli w niej zaszła zmiana, i świat zmienić się musiał; że kiedy zgasły w niej blaski spokoju i zwiędły lilje niewinności — i światło słońca zgaśnie i róże uwiędną... podobnie jak sądzi człowiek po stracie kogoś bardzo drogiego, że cały świat się zawali. »Zdziwił« ją nieodparty, naturalny bieg życia, więc poczęła uciekać od świata i od siebie, a zobaczywszy »w kryształ jezióra« »przezroczystą białosć« swojej twarzy, okryła się włosami jak płaszczem i już wzroku podnieść nie mogła.

Uczuła żal do kochanka. Ale po burzy — słońce zapala się znowu, po chwilach bólu przychodzi rezygnacja.

W godzinie ciszy i cudu w przyrodzie, którą oboje odczuwają każdym włókienkiem duszy, zwłaszcza jeśli nie idą nowe chmury i nowe cierpienia, serca

... jeśli coś mają przebaczyć — przebaczą;
eżeli o czym zapomnieć — zapomną (w. 326—7)

i znowu białe i ciche poczną się modlić...

W jednej z takich chwil względnego spokoju roztrzępotał się na górach, jak srebrny śpiew skowronka w błękitach, dźwięk kościelnego dzwonu. Rzekła więc:

Chodźmy do staruszka celi
Może rozgrzeszy, może rozweseli,
Dłonie nam zwiąże i kochać ośmieli. (w. 323—5)

Wstydząc się zaś już nawet kwiatów, zamknęła wszystkie okiennice, i poczęła się ubierać w mrokach »sosnowej chaty«. Wyszła, »ustroiwszy się jak gór dziewice«, w całym przepychu i dziewiczej świeżości ust i oczu, tak cudna, że w poecie krew zagrała znowu.

Podniecona pięknem fizycznym wyobraźnia, zaczęła tworzyć nowe obrazy szczęścia. Lecz jako w życiu Słowackiego przecucie odgrywało dużą bardzo rolę i prawie zawsze sprawdzało się, tak, że poeta pisze do matki z Paryża dnia 4 października 1832 r.: »Od tego czasu wierzę więc w przeczucia...«, przeto i teraz, gdy »z góry spojrzał w dolinę«,

Szalet się oku wydawał jak trumna...

Szedł więc posępny i drżący do cichej celi pustelnika, już zupełnie pewny, że szczęście jego było snem...

Ostatnie chwile zatarły się w pamięci; poeta pamięta tylko to, co było najstraszniejsze: krwawy refleks zachodzącego słońca, który rzucał się na spokojną, cichą twarz Chrystusa i na matwiejącą powoli twarz kochanki...

Zachodziło słońce i gasło szczęście poety!...

Rytmika dwu ostatnich wierszy XVII ustępu — nie-zrównana. Wieje z nich istotnie zimno lodu bolesnego wspomnienia: strasznego ślubu kochanki ze Śmiercią...

I odtąd wszystko mu ją przypomina. Smutni, bo ona im była siostrą i panią, świadkowie przeżywanych przezeń chwil szczęścia: »gaje! doliny! łąki i strumienie!« mogą go o nią pytać, jak pytać będą ojca zadżumionych »pomarańcza dzika« i te »błękitne na Li-banie chmurki«; — i cóż on im odpowie, kiedy

Są łzy, co mówić na zawsze zabronią.

A kiedy mówić zacznie, bolesne zamyślenie maluje mu każdy szczegół, każde wrażenie fizyczne i każdą barwę uczuciową tak wyraźnie, że poeta nie wie »gdzie iść? i gdzie oczy schować? I gdzie łzy ukryć? i gdzie być samotnym?« W noc zwłaszcza srebrną, gdy się rozplacze fontanna, gdy się rozjęczą słowiki i poczną »mówić o niej«, smutny kochanek z rozpaczą modli się o śmierć.

Od bólu uciec nie może, bo on z nim pójdzie »za morze — i wszędzie«, więc chciałby tylko wybrać »miejsce na smutek łaskawe«, gdzie »księżyc przyjdzie aż pod ławę«

I załskocze tak duszę tajemnie,

że, jako dusza Anhellego, odejdzie po »onym słupie światłości księżycowej« w zaświaty. Cekał bowiem, jak Anhelli, tego wichru, »który go z ziemi zwieje i zanieśie w krainę cichą...«

2

»OJCIEC ZADŻUMIONYCH«

Zrozumienie poematu nie nastręcza żadnych trudności. Jest to najbardziej bezosobisty z poematów Słowackiego, przeto nie potrzeba szukać klucza, mającego wytłumaczyć tę czy ową zagadkę.

Słosunek Słowackiego do materiału, z którego miało powstać dzieło sztuki, nie zaznacza się w żadnym z poematów tak wyraźnie jako przedewszystkiem słosunek artysty-poety.

O bezwzględnej przedmiotowości nie może być

mowy w żadnym wogóle wypadku, sam wybór przedmiotu bowiem, chociażby on sam narodził się i rozwijał poza granicami duszy poety, pozwala w nią spojrzeć i pewne jej cechy uchwycić. Wszelki zresztą akt twórczy dokonywa się w człowieku i przez człowieka, który surowy materiał, wzięty z najdalszych stron i sfer, naświetla i rozgrzewa światłem swojego mózgu i ciepłem swojego serca. Jedna i ta sama scena, wypadek czy obraz, jakże inaczej wygląda w opowiadaniu różnych indywidualności. Inaczej przedstawi je Mickiewicz, inaczej Słowacki.

Tem bardziej zaś nie może być mowy o bezwzględnej przedmiotowości u Słowackiego, którego ruchliwy i zmienny świat zjawisk »realnych« najzupełniej nie obchodził; który starał się zawsze uchwycić »duszę« zjawiska i który »oceniać chciał świat, aby się sam ocenić«, aby zrozumieć, uświadomić sobie, znaleźć klucz do własnej duszy. Bohaterowie przeważnej części utworów Słowackiego i ich wzajemne ze sobą stosunki, to już nie prawdy, a choćby tylko możliwości obiektywnej prawdy historyczno-psychologicznej, ale zgoła — żywe coprawda — uosobienia jego myślowych procesów, czy jego uczuciowych zachwytów i rozmodleń.

Poznanie poety z *Ojca zadźmionych* — dosyć łatwe. Ułatwia je zaś sam Słowacki dołączoną do poematu przedmową. »Historja jego (Araba) boleści nie jest całkowicie zmyślona«, powiada. Uzupełnia więc opowiadanie Dra Steble Anhelli-Słowacki, w którego »smutne i zamysłone o kraju serce zaczęło wchodzić powoli przerażenie...« w namiocie »oddalonym od ludzi«: Anhelli, myślący, że już przyszedł wicher, który go z ziemi

zwieje i zanieśie w krainę cichą...« Opowiada je człowiek, który przymusowy swój pobyt w kwarantannie nazywa »snem tajemniczym życia« — i któremu lilje białe powtarzały słowa Chrystusa, mówione do uczniów: »aby się nie troszczyli o jutro i o rzeczy z tego świata«.

Dzielo sztuki tworzył jednak Słowacki-poeta, którego rozmyśl artystyczny czynny był bez przerwy.

Nastroje poety tak zgodne z nastrojami Araba, że to wzajemne ich przenikanie i uzupełnianie się — to jeden jęk i jedna myśl. A w całej tej potężnej pieśni bólu wszechludzkiego ani jednego fałszu psychologicznego, ani jednego — »literaturą« będącego wyrazu artystycznego.

Genialność utworu objawia się w niezrównanem odtworzeniu bólu Araba w całej jego prawdzie i otchłannej głębi, oraz w arcymistrzostwie artyzmu, który proste opowiadanie doktora zrobił obrazem, rzeźbą i muzyką.

Istotnie: jest to »najpełniejsze wcielenie bólu«. »dające mu wyższość nad Niobą, nad Ugolinem, nad Laokoonem« (Kleiner) — przez uchwycenie najbardziej typowych jego wyrazów i przez oddanie ich zapomocą środków artystycznych genialnie prostych a pięknych. I nie wiedzieć — co bardziej podziwiać. Odczuć go musi każdy, jeśli ma duszę cokolwiek wrażliwą, esteta zaś i psycholog ma za zadanie uświadomić tylko, dlaczego poemat budzi podobne uczucia, i pokazać wielkość i piękno artystycznych środków, jakich użył poeta.

O ile zaś wiele innych utworów Słowackiego wywoływało czasem zdania wprost przeciwne, ten trafił odrazu do serc. Klasyczna linja tego posagu boleści,

oraz prosty i naturalny, a wolny od wszelkiej teatralności i afektacji głos złamanego nieszczęściem ojca zniewolił wszystkich. Poemat jest istotnie arcydziełem, stworzonym w tak wyjątkowo spolykanej w życiu poety chwili spokoju, w momencie cudnej harmonji wszystkich władz twórczych. Uciszył się i wyolbrzymił człowiek i artysta w »tym cichym tygodniu życia« i dał »historję boleści« nieszczęśliwego starca, która »nie jest całkowicie zmyśloną«. Odczuło ją serce człowieka, dziełem zaś sztuki zrobił poeta.

Jak poemat *W Szwajcarii*, tak i ten rozpoczyna się jakby olbrzymiem westchnieniem zbolałego serca, mieszczącym w sobie wszystkie wylane łzy, wszystkie zawiedzione nadzieje i tę palącą świadomość samotnego powrotu, po przeżyciu »trzy razy wieków czterdzieści«

Odkąd do mego płóciennego dworu

W tej kwarantannie wszedł anioł pomoru. (w. 19—20)

A potem rozsypuje się krwawy różaniec poszczególnych scen bolesnych, którego rozpalone paciorki nizał Allah Akbar, Allah wielki...

Zrazu słoneczny, pełen cudownego wdzięku, kilku zaledwie rysami wymalowany obraz szczęścia rodzinnego — w tym artystycznym celu, ażeby niespodziewany piorun losu rozhuczał się tem potężniej.

Śmierć — nagle jak błyskawica, po niej ozwał się krzyk bólu i wściekłości ojca, który widząc, że »nie czas już było ratować«, staje do walki ze Śmiercią. Ale to wróg podstępny: skrada się cicho, tak cicho, że nawet czuwający ojciec i matka nie usłyszą kroków, — i zabiwszy — równie cicho odchodzi.

Uczuciowa reakcja z powodu dwu tych śmierci

i wyraz jej słowny następujące: Po śmierci pierwszej — ból opanowany męskim postanowieniem zastosowania środków obrony; po drugiej — pełne głuchej rezygnacji, bolesne stwierdzenie faktu:

I porzuciły nas, i bez powrotu —

i psychologicznie tak prawdziwe zapamiętanie drobiazgu:

Włosami ziemię zamiotły rodzicom.

Jeszcze więc równowaga duchowa możliwie utrzymana, ale już oczy poczęła zaszuwać mgła łez, które nie spadną, jeno tak zamroczą wzrok:

Że słońce słońcu nierówne złotemu —

i niebo przesłonią chmurami,

Że nie wiedziałem czy pacierz doleci

Do Pana Boga, co się zakrył chmurą.

»I tak dni dziesięć przeszło...« A choć dłużyła je obawa rodziców o pozostałe dzieci, nieszczęśliwy ojciec za każdy dzień, który upłynął, dziękował litościwemu Bogu i zaczynał wierzyć w szczęście.

Uciszyły się nieco serca rodziców; »była to więc piekielna godzina«, kiedy wyostrzony wzrok ojca, który wyjątkową obawą i miłością osłaniał najmłodszego syna, zobaczył na jego twarzy zrazu małej, ledwie widoczny znak straszliwych pocałunków Śmierci... Łamiąca się zwolna energja duchowa objawiła się już łamaniem rąk i tak boleśnie prawdziwym krzykiem:

Oby nie umarł! lub był się nie rodził! —

podobnym do tego krzyku Kochanowskiego z XIII-go *Trenu*, a rozszlochane serce nie mogło zrozumieć obojętności przyrody, podobnie jak nie mogła zrozumieć

naturalnego biegu zjawisk świata »bohaterka« *W Szwajcarii*, kiedy wyszła z groty »posępnej i ciemnej«.

Ból doprowadzony — zda się — do ostateczności, przerodził się na chwilę w obojętność »na boleści świeże«, w to tak prawdziwe i straszne: »wszystko mi jedno!« Więc już bez łez i bez najmniejszego skurczu serca patrzył na męki średniego, najmniej kochanego, syna. Ta nowa przeto klęska, poniesiona w walce ze Śmiercią, nie wywołała żadnej uczuciowej reakcji i zdawała się nie być triumfem Śmierci. Odniosła jednak triumf marmurowym spokojem konającego i okropnym dla rodziców wyrokiem jego zastygłych w straszliwy grymas lic, aby w koronie męki nie brakowało ani jednego ciernia. Obojętność zresztą była tylko pozorną. Została mu bowiem jego najmiłsza Hatfe, która »wszystkie oplakała ciosy« i była domowi całemu »jak jaśni anieli obrońce«. Więc patrzył na nią przez łzy i drżał.

Dziesięć dni przeszło, dziesięć nocy drugich
Przeszło...

Po dzieciach ustał wielki płacz niewieści
I naliczyliśmy ranków trzydzieści.

Słodka nadzieja położyła na umęczone oczy ojca aksamitną dłoń kwiatu, że »zbył pamięci i mocy«. Złośliwa jednak Śmierć dała żrenicom palącą ostrość pozaświatowych widzeń, na chwilę złudne — przecucie przyszłych przerażeń... Na chwilę złudne, bo

I te mi dziecko sroga śmierć wydarła!...

Ażeby wzburzyć najgłębsze fale duszy, rozkrzyczała strachem i bólem ofiarę, ażeby ojciec zobaczył zupełną swoją bezsilność. Więc mu się »serce rozdarło na

ćwierci« i poczęło bluzgać krwią... Nie dosyć: ci, którzy zapłakali nad nim, rozdarli hakiem białą pierś dziewczęcia, aby się ojcu zdawało, że to jej śmierć druga.

Rwały się ostatnie węzły życia, więc pełna słońca pustynia wydała się oczom — purpurową »równiną piekielną«; majestatyczna muzyka szumiącego morza — wyciem i płaczem, wielbiona zaś wielkość Boga — straszną wielkością pożaru, trzęsienia ziemi i zarazy!

Płótna namiotu, o które niedawno uderzał srebrny głos życia, szerniały na rosie

Były jak próchna z ludzkich trumien zdjęte —

i stały się postrachem dla ludzi i ptaków. W podartym domu śmierci pozostali tylko rodzice, ostatnie maleństwo i triumfująca bezlitosna Śmierć...

Triumfuje równie poeta, którego artyzm dosięgnął szczytów w stopniowaniu wrażenia.

Zapewne: burza, szalejąca w pięć dni po śmierci córki, to »odbity« obraz rzeczywistej burzy, której skutków poeta sam doświadczył, ale zarazem niezrównany środek artystyczny, wyrażający się w tym, tak prawdziwym psychologicznie, błysku rozpalonej myśli Araba:

Jak moim dzieciom takiej nocy w grobie?

a nadto użyty w tym celu, ażeby cichy płacz dziecienia był uszom ojca głośniejszym niż grom...

W podartym domu śmierci zostali już tylko rodzice i bezlitosna, triumfująca Śmierć, która »zamiast — ich — połączyć«

Zaczęła jakieś jady w serca sączyć...

czyniąc towarzyszy niedoli — wrogami.

Skończył się ostatni akt tragedji i kurtyna zapadła

na dni 40-ci, po których przeznaczenie napisało epilog: ostatnią śmierć — żony. Arab pozostał sam. A jako przedtem stronili od niego ludzie i ptaki, teraz uciekał od nich on, żyjąc tylko złudzeniem i bólem wspomnień »z grobowym tłumem«. Mijały tygodnie całe

Bez żadnych bólów, pamiątek, omamień —

tygodnie zupełnej martwoty, z której zbudziła myśl i serce zagładająca w namiot głowa wielbłąda...

Ożyło serce, ażeby cierpieć, i zbudziła się myśl, ażeby cierpienie rozpamiętywać...

Po raz pierwszy w twórczości Słowackiego prawda życia i poezja odtwarzająca ją zapomocą sobie właściwych środków zespoliły się tak harmonijnie i tak cudownie. I po raz pierwszy słowo, chociażby najpiękniejsze, nie objęło władztwa nad myślą. Niema jednego słowa, któreby można usunąć czy zastąpić innem, niema ani na chwilę rozdzwieku pomiędzy niem a życiem, które wyraża. Stworzyło ten poemat serce człowieka, któremu »żał ludzi«, i niepokalany artyzm poety!

3

»WACŁAW«

Jeśli się czyta poemat ten bezpośrednio po dwu pierwszych, mając w duszy tę wysoką miarę sądu, do której same ją podniosły, to istotnie sąd o układzie *Wacława*, t. j. o całości poematu, musi być, w stosunku do tamtych, surowszym. Poemat w zupełności zadowolić nie może. Zdanie Słowackiego: »Może kilka strof

spowiedzi Wacława wyjednają mi... i t. d.« nie jest zwrotem retorycznym, ale pięknym wyrazem samokrytyki. *Spowiedź Wacława* — to naprawdę »westchnienia i dźwięki«, dobyte z »zapalanej harfy«, jaką Eoljonowi przyniosły »duchy powietrzne«; nie można jednak powiedzieć tego o wielu ustępach.

Rozbiór poematu wykaże kilka niejasności, pewne niezdecydowanie poety w »ześrodkowaniu« artystycznym, niewyzyskanie wprowadzonych motywów i jakgdyby pierwszy i nierozwinięty odpowiednio pomysł twórczy. Mimo wszystko jednak słusznem jest zdanie Chmielowskiego¹ i Tarnowskiego, którzy umieli odczuć i pokazać piękno, chociaż widzieli wady.

Wacław jest dalszym ciągiem *Marji* Malczewskiego, »charakter — zaś jego bohatera — przejęty z ręki konającego Malczewskiego, dociągniony, dorysowany, domalowany, jak na wielkiego mistrza wypada«, jak się wyraził Krasiński. Zależność (częściowa) od poematu Malczewskiego widoczna. Początek — to niemal ta sama kompozycja muzyczna stepu, z tą różnicą, że kiedy u Malczewskiego:

... na obszernych polach rozległe milczenie;

.....

Tylko wiatr szumi smutnie, uginając kłosa;

Tylko z mogił westchnienia i tych jęk z pod trawy,

Co śpią na zwiedłych wieńcach swojej starej sławy,

to w poemacie Słowackiego:

Krzyżowe groźby i poselstwa ptaków

Lecą przez krwawe doliny bodjaków;

I czuć w powietrzu, że tu myśli wojna... (w. 11—13)

¹ Arcydziała polskich i obcych pisarzy. Tom 17, wydanie Westa w Brodach.

Bo choć się skończą rycerstwa i waśnie,
To ziemia mogił tak prędko nie zaśnie. (w. 15—16)

Mogily biorą udział w życiu rzeczywistym, uczuciowo,
a czasem nawet »czynnie«, jak świadczy ustęp XXXV:

Z każdej mogiły ognista kolumna
Wytryska w niebo, gdy nadchodzi trumna. (w. 960—961)

A chociaż cisza na niebie,

W ziemi grobowej głucha trupów wrzawa. (w. 966)

»W jej sercu wolność się odzywa«, a duszę porywa żal
za Pułaskim i Sawą i smęci niedające się urzeczywist-
nić pragnienie oraz tęsknota, aby sprawdziła się »pro-
rocka duma Wernyhory«. »Wszystkie te — zaś — śni-
cia«, zapowiada poeta, sprawdzą się, jeżeli serce rycerza

Jako lilija będzie we krwi czyste... (w. 37)

i jeżeli każdy rycerz będzie się ważył

Złotym aniołem, w ojczyźnie na straży. (w. 42)

Narazie jest to rzeczą niemożliwą, bo w zamku,
dokąd nas poeta prowadzi,

Gorsze niż w grobach — zdradziectwa powietrze! (w. 54)

Nigdzie plam tyle od zbrodni w sumnieniach... (w. 67)

serce zaś dawnego jakby »rycerza Solimy«, »aniola
stepu«, »miota się jak ptak« w siódlach zgryzoty. W ten
sposób łączy poeta dwa pierwsze ustępy z trzecim
i następnymi.

Step, który w *Marji* jest zupełnie zamoistną war-
tością, a nie dekoracją czy tłem, i który tak olbrzymią
»gra« w niej rolę, w *Wacławie* jest tylko środkiem
technicznym. Muzyczny jego rysunek jest bardzo błady,
a nadto nie jest »rysunkiem z natury«.

Zamek Wacława (V), podobnie jak zamek woje-
wody (IV, V), huczy gwarem uczujących. Obie te
sceny służą jednak do innego celu. U Malczewskiego
»dawny obyczaj, wspaniała ochota« i wojewoda »długo
niewidziany«, rozmawiający ze synem »bardzo łaska-
wie«, to szatański plan ojca, chcącego uspić czujność
syna; u Słowackiego — scena ucztę wprowadzona dla
pokazania, że Wacław przestał być panem zamku; że
dawno już, gdy zjawiał się jeszcze w kole biesiadników:

Każdy, co z gości do stołu zasiadał,
Nie znał go prawie... (w. 81—2)

że uciekały przed nim »załęknione dzieci«, bo

... przerażenie z Boskiego wyroku
Wisiało nad nim jako krwawa tęcza (w. 94—5)

oraz dla zaznaczenia bolesnej świadomości samego
Wacława

... że odstręcza,

Że coś pomiędzy nim a światem stoi (w. 96—7),

aby go ostatecznie uczynić samotnym:

Nareszcie uciekł od ludzi i słońca. (w. 109)

Motyw samotnictwa z rozmaitych powodów i w roz-
maitych objawach, tak częsty w poezji Słowackiego,
a zaznaczony doskonale przez prof. Kleinera, ma swoje
źródło w duszy poety, w jego własnym, uświadamia-
nem sobie samotnictwie. Stąd te dygresje, chociaż ich
wogóle w *Wacławie* niewiele (np. w. 94—102), jakkol-
wiek zupełnie ściśle i naturalnie zespolone z psychiką
Wacława, dają częściowo obraz duszy samego poety.
I on uciekał »od ludzi i słońca« i zamykał się w świecie
swoich myśli i marzeń, podobnie jak Wacław z Eoljo-
nem, w którym Chmielowski widział »uosobienie tego

wszystkiego, co jeszcze szlachetnem i poetycznem w zgorzkniałem sercu Wacława zostało, odgłos jego marzeń młodzieńczych, cień błdziutki lepszej części jego duszy», — »jakby daleki odbłask owego smutnego pacholecia w *Marji*, co jadło świata zatrute kolacze: nie wiadomo, czy duch opiekuńczy, czy szatan Wacława«.

Oczywiście jednak Eoljon — to ani jedno, ani drugie
Bo chociaż mówi Wacław:

Widziałem moje sny młodości złote,
Zachwyty, miłość, niepokój, tęsknotę,
Wydane dziecka niewinnem obliczem.... (w. 843—845)

ale poeta nie chce w nim widzieć tego, co przypuszcza Chmielowski, tylko robi je »zgryzot zwierciadłem«, jakie przed Wacławem postawiła »jakaś moc grobowa«. Ta jakaś straszliwa, karząca moc, te »jakieś piekielne ręce«, które

... straszne rzeczy czynią dziecka mocą, (w. 146)

tak, że rozsypuje się w proch »ostatnia pomoc, moc dziecka pacierzy«. Jest on narzędziem duchów, zerwaniem ostatnich nici, łączących Wacława ze światem, ciągłą jego bolesną świadomością — czem być mógł, a czem jest.

Jako pomysł poetycki, a nawet jako środek techniczny, mający służyć do rozwoju akcji czy rozświetlania mroków duszy Wacława, postać ta jednak, mimo wszystkie piękności, ani odpowiednio jasna, ani należyście »postawiona«. Zapowiada coś więcej dla tragedji Wacława, aniżeli spełnia, — i robi wrażenie, że jego rola i jego historia nie dosyć jasno przedstawiała się samemu Słowackiemu. Poeta powiada wprawdzie:

Jakieś piekielne mieszają się ręce
I straszne rzeczy czynią dziecka mocą —
I dziś — gdy Wacław zasnął — przed północą...

ale urywając myśl, zdanie — nie pozwala w żaden sposób domysleć się, co się stało, i czy się wogóle co stało »dziecka mocą«. Rola bowiem jego w stosunku do ojca (XVIII w. 470—485) zgoła inna, a już w ostatnim ustępie — zasadniczo różna. Pomysł zresztą, jak zaznaczono, nieoryginalny, przypominający Orcia z *Nieboskiej Komedji* Krasńskiego, wprowadzony nadto bez zdecydowanego jasno planu. Charakterystyczne, że kiedy skończyła się jego rola jako »błękitnego grzechów spowiednika«, spowiednikiem Wacława stanie się ksiądz. Czy skończyła się rola duchów?

Nawiązanie akcji, urwanej ostatniem zdaniem ustępu VI, zadowolić nie może. Pytanie:

Lecz gdzież jest młoda małżonka? Grafini?

i cały szereg następnych pytań, to środek dawno zużyty i zbyt łatwy. Pytań w ustępie VII wogóle za dużo; wiele z nich musi pozostać bez odpowiedzi, niektóre zaś całkiem niepotrzebne.

Postać grafini także niezdecydowana w rysunku i niejasna w swojej roli. Kiedy poeta zapytuje:

Z jakim to widmem skandynawskiej Frei
Grafini dzieło zaczyna Medei? (w. 204—205)

sądzimy, że naprawdę zaczyna to dzieło. Tymczasem — kiedy w ogrodzie rozległy się »szmery« i »wrzawa szalona«

Że graf otruty, że cierpi, że kona, (w. 235)

»pani zbladła«, a poeta dodaje, że gdyby kto widział w tej chwili jej oczy,

Tenby ją całkiem miał niepotępioną;
Zepsutą była, niewierną — lecz żoną. (w. 254—255)

Ona zaś sama wyznaje:

O! Antynoe, już czuję zgryzoty,

A przecież śmierci męża jam niewinna... (w. 457—458)

Nie jest więc chyba Medea. Rolę jej spełnia »polska Hekata«, »wiedźma z piekła«, która przekleństwem zegnała trupa Wacława. Grafini chciała,

... by ta wiedźma z piekła

Czarę miłościem zaklęciem urzekła, (w. 462—463)

ona zaś zdrajcy przygotowała

Ogień miłośny i ludzkie popioły, (w. 671)

a była może wykonawczynią woli Wernyhory, który —
według wierzeń ludu —

Przyszedł się pomścić za Lachów ojczyznę,

I z grobu przyniósł dla pani truciznę. (w. 282—283)

Podejrzewa ją więc lud, a także sam Wacław (XXVIII,
w. 702).

Kto więc jest Medea? Jaką jest rola grafini? »Dawniej niewolnica«, nie ma w sobie nic wielkiego, chociażby w zbrodni, nic zdecydowanego, chyba w tej chwili, gdy jak zwyczajna awanturka

Brylanty chowa i papiery pali. (w. 443)

A przecie Wacław mówi księdzu:

Lecz od niej gorsze ja rany poniosłem.

Ona zrobiła, że śmierć kraju zniosłem.

Anioł piękności i wróg nieodstępny,

Stała, gdy z hańbą walczyłem posępny.

Com cierpiał w sobie i com czuł — nie czuła,

Co w sercu mojem zmartwychwstało — struła...

(w. 697—701)

Była więc jakimś demonem, pięknym jak bywa czasem grzech podłości... W poemacie jednak jest bezwolnem narzędziem w ręku Greka, który »wydaje rozkazy«, a »ta piękna słucha«

I całuje go w ręce nieszczęśliwa. (w. 449)

Tymczasem ktoś posłał po księdza, który »próżno czeka u grafa podwoi«, bo

Zamknął się Wacław i ludzi się boi

I z małym synkiem sam na sam się pieści. (w. 285—286)

Ostatnia rozmowa ze synem, będąca skargą ojca a płakaniem syna, podsłuchiwana przez tłum służebników, który rozróżnia głos grafa i »głosek serafina«, a czasem słyszy »więcej tam głosów niż dwoje«. Oddawna bowiem szeptano sobie, że Wacław ma jakieś nocne rozmowy z duchami, a raz, w dzień trzeciego maja, widziano jego ucieczkę przed niemi,

Widziano, jak się topił cały błąd. (w. 320)

Pędziły go duchy za jego przewiny młodości, chcąc go zabić »krwią albo przestraczem«. Dzisiaj sam się

... chce karać za zbrodnię,

Sam przyzwał piekiel czerwone pochodnie. (w. 334—335)

Ale »dla serca, co się samo dręczy, Widm nie potrzeba«, wyręczy je sumienie Wacława, które wykonywa nad nim sąd nawet we śnie:

... sumnienie Wacława

Nabyło nawet nad uspiętym prawa. (w. 348—349)

Budzi go i każe mu iść »z otwartem okiem« po komnatach zamkowych ku czemuś, co zjawia się z piersią przebitą...

Dawniejszy »anioł, rycerz, człowiek« — po śmierci pierwszej żony i ojca »dziwnie na sercu zmieniony«.

Straciła dlań wartość miłość ojczyzny, a chociaż »nadto w nim miłośnej siły«, on już nie może »nikogo kochać prócz mogiły«, co Wacław podkreśli potem sam w scenie spowiedzi:

Plakałbym może i z cierpień się skarżył,
Alebym kochać już nie mógł, nie ważył. (w. 602—603)

Strasliwa tragedia rodzinna zatrula serce,

A dziś — już koniec! do Wacława gmachu
Weszła posępna królowa przestachu. (w. 434—435)

»Ogień miłosny i ludzkie popioły« zabiły syna, i Wacław został sam. Ale nim duszę odkryje przed księdzem, po raz ostatni wejdzie w somnambulicznym śnie, z »szmatą skrwawioną na głowie«, do sali, aby przerazić kochanków, aby grafini »czołem upadła«

Przed same nogi groźnego widziadła (w. 495)

i aby Wacław

... cały zadrżał i cały się wzdrygnął
I stanął chwilę we śnie, zadziwiony,
Jakby usłyszał skąd o śmierci żony, (w. 497—499)

lecz »nie obudził się« i poszedł dalej, — czyli: aby historia grafini doszła do końca.

Strasliwy tragizm życia Wacława i okropności jego pałacu podkreśli poeta po raz ostatni »spokojnym wschodem słońca na stepie«, odmalowanym ośmioma zaledwie wierszami, aby przez krótką zapowiedź »mgły śmierci«, mroczonej zamek, i w cztery wiersze zaledwie ujętą dygresję — przejść do spowiedzi Wacława, który »postradawszy« dziecięcę,

Już nie zapytał się o nią nikogo. (w. 561)

I zaraz podnosi się nastrój, potężnieje wewnętrzna i ze-

wewnętrzna rytmika wiersza. Słowa nawet same nabierają siły i blasku. Poeta opanowuje natchnienie jako świadomy siebie artysta. Poemat staje się znowu (ulu-biona w tym czasie forma!) przeważnie wspomnieniem, przeżywaniem przez Wacława pamięcią tego, co było treścią jego tragicznego życia.

Wielkość człowieka, którego duszę zwichnęły sple-tane w jakiś piekielny kłęb wypadki życia, którego duma rodowa i duma człowieka nie pozwoliła »ważyć — ich — na szali« rozumu i kazała samemu stanąć »przeciwko narodu«; świadomość wreszcie, że winą jego — to »większe serce«, jakie miał »w sobie do nakarmienia«, serce »niepodłe«, choć winne, wymalowane z niedającą się w niczem zaczepić prawdą psychologiczną i muzyką słowa największych mistrzów Zdumiewa olbrzymia skala tonów od:

Nie uniewinniam ja siebie, o księżu!

t. j. od tej palącej świadomości, że się jest winnym — mimo wszystko, — że się nawet nie próbowało naprawić błędu (w. 925—926), poprzez szukanie i stwierdzenie powodów — poza człowiekiem leżących (»większe serce«, Bóg czy Los, ludzie, naród), przez pełną łez »burzę« żalu, że nie mógł być jednym z tych »czystych nieznanych«, których dusze«, gdy umrą, »lecą przed narodem«, — do chęci zatarcia i zniszczenia śladów po sobie i tego załamania się duszy w bolesnym krzyku:

O, czemu ja też dzieckiem nie umarłem!

Zarzutów niepodobna robić prawie żadnych, niektóre

zaś ustępy, zwłaszcza w XXVIII, XXIX i XXX — to godne *W Szwajcarji* i *Ojca zadżumionych* arcydzieła.

Poemat kończy się »pogrzebem możnego pana w Ukrainie« i przekleństwem zdrajcy. Zjawia bowiem Eoljona, który wśród pieśni »zapalanej harfy« ulatuje z »białymi słuchaczami« w »niebieskie krainy«, z »historją boleści« Wacława nie ma nic wspólnego.

Poemat powstał we Florencji, a nastrój jego wewnętrzny i właściwości językowo-stylowe łączą go wyraźnie z utworem tych czasów *Poema Piasta Dantyszka o piekle*, oraz (do pewnego stopnia tylko) z *Boską Komedią* Dantego. Bardzo sumienne zestawienia, znajdujące się w monografji prof. Kleinera o Słowackim, stwierdzają to istotnie, tak, że czas powstania poematu nie ulega kwestji. Prof. Tretiak i Kleiner omówili też dostatecznie wyczerpująco powód zajęcia się Słowackiego poematem Malczewskiego. Poeta zaś sam w krótkiej przedmowie zaznacza między innemi powodami »zmuszającemi go do napisania poematu« to, że chciał »zidealizować rzecz pełną czarnych mętów i okropności...« To jednak, co się »dzieje« w poemacie Słowackiego, jest tak »pełne czarnych mętów i okropności«, iż słuszna jest uwaga prof. Kleinera: »wysiłek energii twórczej ma na celu wydobycie niesamowitości«. A jest to »niesamowitość« psychologiczna osób, biorących udział w »akcji«, zwłaszcza samego Wacława, oraz »niesamowitość« sytuacji, w których poeta każe im się znaleźć. »Idealizuje« poeta »rzecz pełną czarnych mętów i okropności« spowiedzią Wacława, która pokazuje duszę, mającą wszelkie znamiona niemogącej się rozwinąć wielkości, oraz wszelkie, zniszczone wcze-

śnie, możliwości, aby się stała »aniołem stepu Pod błękitami niebieskiego sklepu«, — w której się jednak wskutek przedziwnych »chemicznych« wpływów losu »krew zaczęła sławna«.

Znika anielska eteryczność *W Szwajcarji* znika »klasyczna« posągowość i artystyczny umiar *Ojca zadżumionych*, a zjawia się dawna, *Lambra* chociażby tylko przypominająca sztuczność, pełna fosforycznych skrzeń niepotrzebnie nagromadzonych »okropności«, które czasami nie znajdują żadnego usprawiedliwienia.

Jakże daleki też jest pod każdym względem poemat Słowackiego od poematu Malczewskiego, który go wywołał. Arcydziełem *Wacława* nazwać nie można, a zastanawia niezwykła skąpość obrazów przyrody, które mogły mu dodać blasku i wartości. Znikła zadziwiająca harmonja i jasność dwu pierwszych poematów, a miejsce ich zajęła przesadna czasem »okropność« niektórych scen i obrazów. Rzecz jasna, że Słowackiemu chodziło o »niezwykłą« duszę Wacława, ale ta »niezwykłość« nie pozwoliła zatrzymać się na tej granicy, do której sięga sztuka, a za którą zaczyna się sztuczność.

Dla objaśnienia następnego poematu, potrzeba mi nieodbić powiedzieć kilka słów o kwarantannie na pustyni między Egiptem a Palestyną, blisko miasteczka El-Arish. Wymysłem to jest dziwnym Mohameda Ali, że między dwoma swojemi państwami naznaczył myślą na błędnym piasku granicę, i pod karą miecza zmusił wolne beduiny rozbijać w tém miejscu namioty i żyć przez dni kilkanaście pod dozorem straży i doktora; inaczéj zaś z Egiptu do 10 Syrii dostać się nie mogą. Podróżując na wielbłądzie, musiałem podobnemu ulec losowi. Po ośmiu dniach drogi, przybyłem z Kairu na smutną dolinę piaszczystą, abym na niej przez dni dwanaście zamieszkał. Zrazu pojąć nie mogłem, jak miejsce pu- 15 ste, bez żadnego domu, błędnym piaskiem zawiane, mogło prawu ludzkiemu podlegać; ale miecz Baszy zdawał się wisieć w błękitném niebie, nad głową moich przewodników Arabów, bo przybywszy na dolinę kwarantanny, kazali zaraz uklęknąć wielbłą- 20 dom, a w twarzach ich czarnych widać było głębokie poddanie się ludzi wolnych pod prawo strasz-

w. 2: *kwarantanna* (z franc. *quarantaine*), nazwa pewnego okresu czasu, a także miejsca, w którem obserwuje się ludzi przybywających z miejsc dotkniętych zarazą.

w. 4: *El-Arish*, miasteczko nad obszernem łożyskiem potoku tego nazwiska, stanowiące punkt graniczny między Egiptem a Syrią. Po opanowaniu Egiptu, zdobył je Bonaparte. *El-Arish* pozostało w rękach francuskich do r. 1799. (Patrz *Listy do matki* II, 38 i 61).

— *Mohamed Ali* wicekról Egiptu, † 1849.

w. 12: *Kair el Kahira*, główne miasto w Egipcie nad Nilem, założone w r. 640 po Chr.

w. 16: *Basza* lub *Pasza* — wielkorządca lub namiestnik prowincji w Turcji lub Persji.

nego człowieka. Przybył doktor z miasteczka El-Arish; pierwsze to było miasteczko, które od wyjazdu z Kairu obaczyłem zdaleka, a doktor pierwszym napotkanym człowiekiem. Pan Steble, tak się nazywał ów lekarz, emigrant włoski, ożeniony świeżo z panną Malagamba, sławną pięknnością na Wschodzie, o której Lamartine z takim uniesieniem rozpowiada, starał się natychmiast mój pobyt pod otwartym niebem jak najwygodniejszym uczynić; wydał ze składu kilka namiotów dla naszej podróży gromadki; a jak się później dowiedziałem, rączki jego żony grzęzły w białej i srebrzystej mące, aby mi na chlebie europejskim nie zabrakło. Rozłożywszy się pod namiotem, przywykać zacząłem do smutnego widoku, który mnie otaczał. Opodal nieco rzeczka, sucha prawie aż do dna, przerywała piasku dolinę, i szła do morza, za nią szara wstęga palmowych lasów; od północy błękitna szarfa morza Śródziemnego roztrącała się o piasek i smutnym gwarem fal napelniała ciche nad pustynią powietrze; nad morzem zaś, na piramidalnej piasku mogile, błyszczał białą kopułą mały grobowiec Szecha, straszny, albowiem tam w jego lochach składano umarłych z dżumy; a zaś architektura jego i żółtawa białosć nadawały mu pozór kościotrupa. Z innych stron wznosiły się piaskowe i na nich straży namioty, i patrzący na kwarantannę strażnicy w jaskrawych orjentalnych ubiorach; w środku zaś doliny niby stożec piaskowy, z którego muezin obwoływał donośnym

w. 27: panna Malagamba, córka wicekonsula Syrii i małżonka lekarza Steble, emigranta włoskiego, z El-Arish. Lamartine pod datą 15/X 1842 roku (*Voyages en Orient*, Bruksela 1836 r., str. 105) z uniesieniem o niej rozpowiada: »Aucun poète n'a jamais dépeint une si ravissante apparition. L'H'idée de lord Byron, dans *Don Juan*, a quelque chose de Mlle Malagamba, mais elle est loin encore de cette perfection, de grâce, d'innocence, de douce confusion, de voluptueuse langueur et d'éclatante sérénité, qui se confondent dans ces traits encore enfantins (p. *Listy II*, 45, objaśnienie Meyeta i List do matki z Liworno z 11/VII 1837 r.).

w. 28: Lamartine, sławny poeta, historyk i minister franc. (1790—1869).
w. 43: grobowiec Szecha — kapłana mahometanckiego.

głosem wielkość Boga rano, wieczorem i w nocy. Wszystkie te obrazy czytelnik drugi raz odbite znajdzie w następującej powieści; a pokażą się mu we właściwszym świetle, albowiem je zobaczy przez 55 ły ludzkie. Co do mnie, przywykać zacząłem do mego namiotu i podobałem sobie w ciszy piaskowego stepu i w szumie morza, do którego brzegów pozwalano mi chodzić, wzięwszy z sobą jednego z kwarantanny strażników. W wigilią Bożego Narodzenia (1836 r.), kiedy z tej spokojnej pustyni myśli 60 moje odbiegły aż do dalekiej ojczyzny mojej, i ku owym dniom, które dawniej spędzałem na ucztach w gronie rodzinnem: okropna burza, przewiewana wicherem z morza Czerwonego na Śródziemne, gruchnęła 65 w nocy i połała się deszczem piorunów na mój namiot, oddalony od ludzi. W smutne i zamyślane o kraju serce, zaczęło wchodzić powoli przerażenie... Szeleszczący od wichrów i deszczu namiot chwiał się nademną, i zaczerwieniony od piorunów, 70 dawał się ognistym i strzegącym łoża bezsennego cherubinem... Wicher mi zagasił światło, a wilgotny knot na nowo zapalić się nie chciał. Próżne tu byłyby opisy; albowiem wielkością biblijną nacechowana była ta burza w pustyni — Anhelli myślał, że 75 już przyszedł wicher, który go z ziemi zwieje i zanieśie w krainę cichą — przeszła jednak ta bezsenna noc zgrozy, a gdy nad rankiem wyszedłem z namiotu, chmury żelazne okrywały niebo i drobny

w. 66—67: W smutne i zamyślane o kraju serce, zaczęło wchodzić powoli przerażenie... — To zdanie kazało prawdopodobnie Szujskiemu doszukiwać się w *Ojcu zadziwionych* »symbolu nieszczęść narodowych«.

w. 74: Anhelli myślał, że już przyszedł wicher... Poeta utożsamia siebie z Anhellem, którego duch »ujrząwszy się wolnym, poszedł na wodę... i po słupie światłości księżycowej odchodził na południe«. Jak Anhelli bowiem i jak »bohatera« poematu *W Szwajcarii*, patrzył »w lecące po niebie łabędzie«, by tam polecieć, »gdzie one polecą; i spodziewał się, że może księżyc, idąc po fali... zaszeleści złotem, i załoskocze tak duszę tajemnie, e stęskni — ocknie się i wyjdzie ze mnie«. Dusza jego bowiem, jak dusza Anhellego, »bohatera« w *W Szwajcarii* i Eoljona, ulatywała zawsze, obca ziemi, »w niebo gwiazdziste«.

deszczyk zasmucał powietrze. Ale nie tu był koniec
 80 przestraszów; krzyk Arabów uwiadomił mnie o nowym niebezpieczeństwie: owa rzeczka, gdzie wczora zaledwo nitka wody sączyła się po piaskowym korycie, nabrzmiała nocną ulwą, i srebrnymi pletwami prosto biegła roztoczyć się po dolinie, na której
 85 stały nasze namioty; zaledwo kilka chwil czasu zostawało do ratunku; unieśliśmy za pomocą Arabów namioty nasze na najbliższe wzgórze piaskowe, a zaraz po nas przyszła woda napelnić owe kręgi piaskowe, które jako ślady naszych zerwanych domów
 90 zostały w dolinie. Zziębły i ponury patrzałem ze wzgórza na tryumf tój biednej rzeczki, a patrząc tak, dziwnego doznawałem wrażenia. Bez dachu, bez ognia, bez pokarmu, doznawszy morskiego prawie na ziemi rozbicia, nie mogłem jednak udać się do
 95 bliskiego miasteczka, gdzie byli ludzie, ani prosić, aby mię pod dach jaki przyjęto, i przy gościnnem posadzono ognisku. A mogły nadejść okropniejsze burze, mogło nareszcie przyjść morze i zatopić wzgórze, na którym stałem; a wszystko to trzeba było
 100 własnymi siłami wytrzymać, ocalić się lub zginąć pod okiem ludzi, którzy się mnie i rzeczy moich dotknąć nie mogli i nie śmieli. Wyjaśniło się nakoniec niebo, a ja, nauczony doświadczeniem, już nie w dolinie, lecz na wzgórzu najwyższym rozbiłem
 105 namiot; i przyszły dnie pogodne, ciche, spokojnie płynące w pustyni. Drogman mój Soliman, sławny z tego i chępliwy, że był niegdyś tłumaczem Champolliona, Roseliniego, Fresnela i wielu innych opowiadał mi o swoich dawnych panach różne drobne

w. 106: *Drogman* albo *dragoman* — tłumacz urzędowy na Wschodzie.

w. 107—108: *Champollion* Jan Franciszek (1790—1832), badacz starożytności egipskich, wydał w r. 1822 *Lettre à Dacier*, zawierający zupełny alfabet hieroglificzny oraz wykład całego systemu pisma egipskiego. — *Rosellini* Hipolit (1800—1843), podróżnik i geograf, autor *Pamiętników o Egipcie*. — *Fresnel* Fulgencjusz (1795—1835), znakomity znawca arabszczyzny i badacz Wschodu, wydał m. in. *Quatre Lettres sur l'histoire des Arabes avant l'islamisme*.

110 szczegóły ich podróży i ze mnie zapewne zbierał zapas małych postrzeżeń, któremi będzie bawił przyszłych wędrowników. Wieczorem zaś, usiadłszy na ziemi u wejścia do namiotu, piękny ten Arab, z długą brodą, oświecony wzierającym między
 115 płótna księżycem, śpiewał mi strofy z poematów arabskich, których dźwięk niezrozumiany i smutna nuta kołysały mnie do snu. A wtenczas — może mnie anioł snów okrywał płaszczem rycerza Solimy, i nazywał krzyżem czerwonym na piersiach, a zaś
 120 Araba tego przemieniał w giermka, śpiewającego smutne dумы z ziemi rodzinnej. Lecz dosyć już o tym śnie tajemniczym życia mego, o tym złotym stepie, i o tym namiocie, gdzie miałem chwile spokojne, gdzie budząc się, przez roztworzone płótno, oczy moje na-
 125 potykały konstellacją Orjona, tak podobną do gwiazdzistej lutni, zawieszoną przez Boga nad biednym namiotem błędnego Polaka. Dosyć o tym cichym tygodniu życia — przeminął. — Wielbłądy moje znów ukłękły przedemną i podniosły się z pielgrzymem zadumany, wyciągając długie, węzom podobne szyje ku
 130 grobowcowi Chrystusowemu; a kiedy już byłem o godzinę drogi ku wschodowi, obróciłem się na siodle, aby raz jeszcze spojrzeć na mój namiot zielony; obaczyłem go na wzgórzu i zdawało mi się, że sam
 135 wyszedł na miejsce wysokie, aby mnie pożegnać; a czy to ludzie pakując rzeczy, czyli też sam namiot, nie czując już w sobie mieszkanka, wyrwał kilka kołów z piasku i skrzydłem powiewał za mną, pokazując mi swoje łono czarne i puste — odwró-

w. 118: *rycerz Solimy* — rycerz Jerozolimy, Krzyżowiec. W *Wacławie* (XIII, w. 360—361) mówi poeta o swoim bohaterze: »On tak wyglądał, jak rycerz Solimy, Piękny i straszny...«

w. 125: *oczy moje napotykały konstellacją Orjona*... — Jest to najrozleglejszy i najświetniejszy gwiazdozbiór nieba, widzialny w Europie podczas miesięcy zimowych. Ma on zawierać 136 gwiazd, a między niemi jedną gwiazdę pierwszej wielkości. Mnóstwo też jest gwiazd podwójnych, zbiorowisk gwiazd i mgławic, z których najstawniejsza mgławica Orjona. Patrz *Listy do Matki* II, 68 i objaśnienie L. Meyeta.

140 cilem się od téj rzeczy, co miała serce rozdarte po
 mnie. A wkrótce zaczęły się pokazywać na piasku
 lilije białe, zwiastując, że się zbliżam do żyźniejszej
 krainy; i pomyślałem, że na te same kwiaty obró-
 ciwszy oczy, mówił Chrystus do uczniów swoich,
 145 aby się nie troszczyli o jutro i o rzeczy z tego świata,
 patrząc na lilije, które Bóg odziewa.

Oto jest opis kwarantanny odbytej przezemnie
 na pustyni; gorszą daleko wysiedział ów starzec,
 opowiadający nieszczęścia swoje w następnym poe-
 150 macie. Historia jego boleści nie jest całkowicie zmy-
 śloną: opowiadał mi ją doktor Steble, któremu tak
 za nią, jako za chleby i za uprzejmość dla mnie,
 podziękowałbym tutaj, gdybym wiedział, że te kilka
 wyrazów znajdzie go na pustyni. Ale czemuż jest
 155 dla niego wspomnienie w niezrozumianym języku,
 i wymówione głosem, który zaledwo się tak roz-
 chodzi. jak kręgi na wodzie po rzuconym do niej
 kamieniu.

OJCIEC ZADŻUMIONYCH

W EL-ARISH

Trzy razy księżyc odmienił się złoty,
 Jak na tym piasku rozbiłem namioty.
 Małeńkie dziecko karmiła mi żona,
 Prócz tego dziecka, trzech synów, trzy córki,
 5 Cała rodzina dzisiaj pogrzebiona
 Przybyła ze mną. Dziewięć dromaderów
 Chodziło co dnia na piasku pagórki.
 Karmić się chwastem nadmorskich ajerów;

W. 1—20 spełniają mniej więcej tę samą rolę, jaką w poemacie *W Szwajcarji* spełniają wiersze 1—6. Stanowią one wstęp do późniejszego opowiadania »faktów«, które *W Szwajcarji* staje się przesuwaniem paciorków bolesnego różańca wspomnień cudnej i smutnej sielanki-tragedji, jakby wyobraźniową ewokacją sennych widziadeł, tu zaś jest krzykiem bluzgającej świeżą jeszcze krwią duszy ojca, który po ostatnim pogrzebie wraca do domu. Różnica pozornie drobna, niezmiernie jednak ważna z tego powodu, że z tego właśnie względu poemat *W Szwajcarji* ma charakter kontemplacji, w której zacierają się wszystkie szczegóły o tyle, że żaden z nich nie występuje w silnie zarysowanych konturach zdecydowanej rzeczywistości; w *Ojcu zadżumionych* zaś każdy niemal szczegół rzeczywistego wypadku występuje jasno, chociaż przesłania je mgła ludzkich łez. Oczywiście: świecą one uczuciem człowieka opowiadającego, muszą więc mieć pewne, uczuciowi temu właściwe, naświetlenie, w którym zmieniają się czasem realne kształty, ale niejednokrotnie »obrazy« śmierci występują odrębnie, i dopiero kiedy się jakby utrwała, rzuca się na nie światło uczucia.

W tych 20 pierwszych wierszach zamyka poeta ogólne, jakby jednym spojrzeniem ujęte, wspomnienie pierwszych, szczęśliwych, cichych chwil, któremu towarzyszy raz po raz odzywająca się świadomość kontrastującej teraźniejszości (w. 5, 10, 14—20), przechodząca w krótki, gwałtowny szloch w w. 17.

w. 6: *dromader* lub *dromedar* — wielbłąd jednoosobny.

w. 8: *ajer* — tatarak, tatarskie ziele (*Acorus Calamus*).

A wieczór — wszystkie tu się kładły wiankiem,
 10 Tu, gdzie się ogień już dawno nie pali.
 Córki po wodę chodziły ze dzbankiem,
 Synowie moi ogień rozkładali,
 Żona z synaczką przy piersiach, warzyła.
 Wszystko to dzisiaj tam — gdzie ta mogiła
 15 Promienistemu słońcu się odśmiewa,
 Wszystko tam leży pod kopułką Szecha.
 A ja samotny wracam — o! boleści!
 Trzy razy wieków przeżywszy czterdzieści,
 Odkąd do mego płóciennego dworu
 20 W tej kwarantannie wszedł anioł pomoru.

O! niewiadoma ta boleść nikomu,
 Jaka się w moim sercu dziś zamyka!
 Wracam na Liban, do mojego domu —
 W dziedzińcu moim pomarańcza dzika
 25 Zapyta: starcze! gdzie są twoje dziatki? —
 W dziedzińcu moim córek moich kwiatki
 Spytają: starcze! gdzie są twoje córki?

w. 16: *kopułka Szecha*, grobowiec, w którym grzebano zmarłych na zarazę; w w. 312 nazywa go poeta *Szecha kaplicą*, w w. 218 *cmentarzem*.

w. 18: *Trzy razy wieków przeżywszy czterdzieści* — nieszczęśliwemu ojcu każdy dzień kwarantanny wydaje się wiekiem. Pobyt Araba w kwarantannie trwał, jak z obliczenia wypada, co najmniej 125 dni.

w. 20: *kwarantanna* — czas 40-dniowy lub miejsce, w którym przebywać muszą ludzie, wracający z krajów dotkniętych zarazą.

w. 21—34: Motyw mniej więcej ten sam, jaki znajduje się w poemacie *W Szawajcarji* w. 379—380, rozwinięty tutaj zgodnie z akcją poematu. Rytmika w. 21, oddająca rytm uczuciowy ojca zadżumionych, równa rytmice w. 380 poematu *W Szawajcarji*. Różnice obu ustępów zaznaczam w objaśnieniu odpowiedniego miejsca *W Szawajcarji*.

Przełamanie myśli w w. 34 i następne krótkie »retoryczne pytania«, skierowane do samego siebie i Boga zarazem — jako wyraz tragizmu artystycznie przepyszne, psychologicznie równe załamaniu płaczem głosu i załamaniu rąk.

w. 23: *Wracam*, czas, teraz. zamiast: kiedy powrócę. *Liban*, u Arabów Dżebel-Liban, łańcuch gór w Syrii, między Tripolis i Tyrus.

Naprzód błękitne na Libanie chmurki
 Pytać mię będą o synów, o żonę,
 30 O dzieci moje, wszystkie, pogrzebione
 Tam, pod grobowcem tym okropnym Szecha —
 I wszystkie będą mię pytały echa,
 I wszyscy ludzie, czy wracam ze zdrowiem,
 Pytać się będą — Cóż ja im odpowiem?!

35 Przybyłem. Namiot rozbiłem na piasku.
 Wielbłądy moje cicho się pokładły;
 Dziecko, jak mały aniołek w obrazku,
 Karmiło wróble, a ptaszęta jadły,
 Aż do rąk prawie przychodząc dziecinie. —
 40 Widzisz tę małą rzeczułkę w dolinie?
 Od niej wracała najmłodsza dziewczyna,
 Z dzbankiem na głowie, prościutka jak trzcina.
 Przyszła do ognia i wodą z potoku
 Śmiejąc się lekko trysnęła na braci. —
 45 Najstarszy — z ogniem zapalonym w oku

w. 35: Znowu przełamanie wiersza na dwie części, z których pierwszą stanowi amfibrach, drugą dwa daktyle i trochej. Amfibrach, to nagłe opanowanie bolesnego krzyku, aby bólowi pozwolić spływać łzami aż do zupełnej rezygnacji.

Zrazu od w. 35—44 tżawy uśmiech pierwotnego szczęścia, oddany artystycznie w cudnie spokojnym, rafaelicznym, biblijnym obrazku, z właściwym charakterowi miejsca i Arabowi (a oczywiście i Słowackiemu) zwrotem do natury (w. 40), z porównaniem zupełnie naturalnym (w. 42).

w. 37: *Dziecko, jak mały aniołek w obrazku...* Oczywiście religijne pojęcie zgola nie arabskie, lecz chrześcijańskie, a nawet katolickie. Podobnie wiersz 362.

Od w. 45 zaczyna się opowiadanie szybko po sobie następujących tragicznych wypadków, co poeta wyraża nieporównaną, do gwałtownie pędzących fal wezbranej rzeki podobną rytmiką wiersza, łamanego czasem na pojedyncze wyrazy, będące wyrazem całej myśli lub całego obrazu.

Sama śmierć najstarszego dziecka i towarzyszące jej »czynności pogrzebowe oddane w 7 wierszach zaledwie, nie dlatego jednak, aby artystycznym celem poety w poemacie wogóle, a tu w szczególności, było odtworzenie uczucia (tylko, czy przeważnie) Araba. Ważnym powodem i względem jest zupełnie świa-

Wstał, dzbanek wody chwycił w drżące dłonie;
 I rzekł: sam Bóg ci za wodę zapłaci,
 Bo chcę pić jak pies, bo ogień mam w łonie.
 To mówiąc, wodę wypiwszy ze dzbana,
 50 Powalił się tu jak palma złamana.
 Przybiegłem — nie czas już było ratować. —
 Siostry go chciały martwego całować;
 Krzyknąłem wściekły: niech się nikt nie waży!
 Porwałem trupa i rzuciłem straży;
 55 Aby go wzięła na żelazne zgrzebla,
 I tam, gdzie grzebią zarażonych, grzebla.
 A od téj nocy, tak pełnej boleści,
 Naznaczono mi nowych dni czterdzieści.

Téj saméj nocy Hafne i Amina
 60 Umarły leżąc na łożu przy sobie.
 A patrz! — tak cicho umierały obie,
 Że choć po śmierci najstarszego syna
 Oczy się moje do snu nie zawarły,
 A nie słyszałem, jak obie umarły.
 65 I nawet matka własna nie słyszała,
 Choć wiem, że także téj nocy nie spała.
 Rankiem, obiedwie sine jak żelazo,
 Dwie moje córki, zabite zarazą,

domy siebie rozmyśl artysty, którego «czeka» jeszcze 8 obrazów śmierci. Oczywiście ilość wierszy nie będzie wzrastać z każdą następną sceną śmierci, owszem: będzie podnosić się lub spadać, zależnie od natężenia uczuciowego stosunku ojca do gasnącego dziecka. Samo się przez się rozumie, że w tego rodzaju poemacie kwestją pierwszorzędną jest rozwój uczucia ojca, w tym wypadku chodzi jednak o jego artystyczny wyraz, o sposób, zapomocą którego poeta cel swój osiąga. Fizjologiczny wyraz takich śmierci musiałby naturalnie ciągle się powtarzać, co byłoby artystycznym błędem, i dlatego poeta wprowadza go rzadko, zwracając bardziej uwagę na uczucia Araba.

w. 57—58: to stały, co pewien czas powtarzający się refren, spełniający rolę budzącego coraz posępniejszego, tragiczniejszego nastroju.

Wywlec kazałem strażnikom z namiotu;
 70 I porzuciły nas! — i bez powrotu!...
 A jak dorosłym przystoi dziewicom,
 Włosami ziemię zamiętły rodzicom.

Widzisz te słońce w niebie lazurowém?
 Zawsze tam wschodzi za lasem palmowym,
 75 Zawsze zachodzi za tą piasku górą;
 Zawsze te niebo nie splamione chmurą:
 A mnie się zdało wtenczas, nie wiem czemu,
 Że słońce, słońcu nie równe złotemu;
 I już nie takie, jakie było wczora,
 80 Ale podobne do słońca upiora.
 A niebo, które patrzyło na zgubę
 Mego rodzeństwa, moich trojga dzieci:
 Tak mi się mgliste zdawało i grube
 Ziemi wyziewem i słońca purpurą,
 85 Że nie wiedziałem, czy pacierz doleci
 Do Pana Boga, co się zakrył chmurą.

I tak dni dziesięć przeszło, choć nie skoro.
 Reszta mych dzieci żyła — wszystko czworo

w. 59—72: Śmierć Hafne i Aminy wyraża poeta zapomocą 14 wierszy. I znowu szczegółów zewnętrznych żadnych, a jeżeli chodzi o bezpośredni wyraz uczucia ojca, to jego muzycznym tonem tylko w. 70. Zapewne, w słowach pozornie spokojnych wyczuwa się łatwo pełny żar uczucia, ale jest to znowu «zasługa» poety, który operuje rozmyślnie kontrastem, aby wrażenie było tem silniejsze. Słowacki ucisza rozmyślnie fatalne kroki Martwicy tak, że nawet czuwający rodzice nie mogą ich słyszeć. Bezpośredni wyraz uczucia ojca, oddany dwoma krótkimi zdaniem, jakby dwoma straszliwymi westchnieniami człowieka, któremu poczyna brakować oddechu i który w chwili najstraszniejszej nawet pamięta każdy drobny szczegół. Przy postaci Araba w tej chwili przypominamy sobie sienkiewiczowską panią Emilję, wpatrzoną w przycięte trumną włosy Litki.

w. 73—86: to przepyszna artystycznie i cudowna psychologicznie projekcja duszy nieszczęśliwego Araba w przyrodę. Jego smutek przesłania gęstą chmurą też płomienną zawsze blaskami naturę.

- Małżonka moja serce miała lżejsze,
 90 I nawet moje dzieciątko najmniejsze
 Żyło i kwiatkiem nie chciało usychać —
 Ja sam nareszcie zacząłem oddychać;
 Bo nie wierzyłem, żeby wzięwszy troje,
 Bóg mi chciał zabrać wszystkie dzieci moje.
- 95 O! była to więc piekielna godzina!
 Gdy patrząc na twarz najmłodszego syna,
 Śmierć zobaczyłem. — Ach! ja go tak strzegłem! —
 Pierwszy na twarzy znak wystąpił drobny;
 Niktby nie dostrzegł — ja ojciec spostrzegłem.
 100 On do tamtego stawał się podobny;
 Stawał się jak mój trup pierworodzony
 Z jasnego błądy, z bladego czerwony.
 Patrzę! — Na twarzy plam żelaznych krocie, —
 Więc zawołałem głośno: śmierć w namiocie!
 105 I pochwyciwszy go z takimi trądy,
 Wyniosłem na step, pomiędzy wielbłądy;
 Aby go tam śmierć zgryzła do ostatka;
 I żeby na to nie patrzała — matka.

To nadto niezwykle środek techniczny, ożywiający watek opowiadania rzeczywistych wypadków i jakby ilustrujący obrazem muzyczny element uczuciowo-refleksyjny. Budowa poematu z tych właśnie składa się części: 1) fakty, 2) przyroda, 3) refleksje i uczucia.

- Warto porównać stosunek bohaterki W *Szwajcarii* do przyrody, zaznaczony w ustępie XV, ze stosunkiem do niej Araba. Tam »dziewiły — ja — różę, że takie były jak wczoraj różowe«, — tu »słońce słońcu nierówne złotemu i już nie takie, jakie było wczoraj«. Powód zupełnie jasny i zrozumiały.
- w. 87—108: Śmierć pierwsza przyszła niespodzianie, jak »grom z jasnego nieba«, nie pozwalając nawet zebrać myśli, zwłaszcza że *tej samej nocy* nadleciała bezszelestnym nietoperzowym lotem śmierć druga, a ta jej bezpośrednio i podwójność grozy osłabiła, a raczej wchłonięta w siebie wrażenie pierwsze. Żeby zaś uderzenie trzeciej śmierci było odpowiednio silne, a jako jego logiczne i artystyczne następstwo, aby wrażenie ojca i czytelnika miało swoją właściwą moc, poeta każe jej przyjść po dniach 10,

- Przy konającym czuwaliśmy bliscy,
 110 Ja z wielbłędami — na kolanach wszyscy.
 Łamałem ręce i wołałem głośno:
 Oby nie umarł! lub się był nie rodził! —
 A tam nad palmy, z twarzą nielitośną,
 Gdy konał mój syn, błądy miesiąc wschodził,
 115 I patrzył: — tego z pamięci nie zatrzeć!
 I nie wiem, jak ten sam miesiąc mógł patrzeć!
 Gdy konał w mojem ojcowskim uścisku,
 Chciałem go spalić na popiół w ognisku:
 Lecz ledwie ogień zaczął biec po szacie,
 120 Wyrwałem trupa i rzuciłem straży —
 Poniosło mi go czarnych dwóch grabarzy,
 I lepiej mu tam przy siostrach i bracie.
 Od tego zgonu i od tej boleści,
 Naznaczono mi nowych dni czterdzieści.
- 125 Pod kręgiem słońca jako krew czerwonym,
 I pod namiotem tym zapowietrzonym
 Żyliśmy, słowa nie mówiąc do siebie,
 I śmierć przed samą śmiercią udawali:
 Mysząc, że Boga oszukamy w niebie,

oraz budzi wiarę ojca w litość Boga. Zaznacza też i podkreśla uczuciowy stosunek ojca do syna (w. 97). Pierwszy też raz notuje zmiany fizyczne. Już ojciec śmierć spostrzega i chce, »żeby na to nie patrzała matka; już wreszcie wynosi trupa sam, a czuwając przy konającym synu, woła głośno: *oby nie umarł lub się był nie rodził* (podobnie jak Kochanowski w trenie XII). Tragizm położenia, straszliwa buź szarpających uczuć, zasuwające się na oczy dziecka mroki śmierci podnosi poeta kontrastem — cichem i srebrnym światłem księżycy, który, co jeszcze podkreśla, »z twarzą nielitośną wschodził«. Po raz pierwszy w końcu nieszczęśliwy ojciec chce sobie zostawić syna chociaż garsteczką popiołu, ale chorobliwie drży przed jego bólem i rzuca straży... Ma to uczucie, będące chorobliwą złudą pewności, że w kapliczce Szecha będzie mu jakoś *lepiej przy siostrach i bracie*.

w. 123—124: znany już refren.

- 130 Że się ten bałwan zarazy przewali. —
Powrócił! — Anioł powrócił morderca!
Ale mnie znalazł bez łez i bez serca,
Już omdlałego na boleści świeże,
Już mówiącego: niech Bóg wszystko bierze!
- 135 Miałem na syna trzeciego cierpienia
Powieki bez łez i serce z kamienia.
Boleść już była jako chleb powszedni.
I pod oczyma mi konał mój średni,
Najmniej kochany w mém rodzinném gronie,
- 140 I najmniej z dzieci płakany po zgonie.
To też Bóg jemu wynagrodził za to,
Bo mu dał cichą śmierć i lodowatą,
Bez żadnych bólów, bez żadnych omamień.
Skonał i skościł, i stał się jak kamień.
- 145 A tak okropnie po śmierci wyglądał,
Jakby już próżnych naszych łez nie żądał,
Ale chciał tylko lice swoje wrazić
W serca nieczułe, oczy nam przerazić,
I wiecznie zostać w rodziców pamięci,
- 150 Z twarzą, co woła: — jesteście przekłęci! —
Skonał. Myślałem wtenczas — o! rozpacz! —

w. 125—134: to uczuciowo-myślowy stan duszy ojca po śmierci najmłodszego syna i w chwili powrotu »Anioła-mordercy«. Znakomicie oddany stan niemal zupełnej duchowej martwoty. Jeszcze błąka się poemacku nie zabita całkiem energia (w. 127—130), kończąca się rozpaczliwym samobójstwem rezygnacji (w. 134).

w. 135—150: obrazują śmierć syna najmniej kochanego. Zaczyna poeta od zaznaczenia uczuciowego stosunku ojca do syna, a określając jego śmierć *cichą i lodowatą* jako nagrodę Boga za brak miłości rodzicielskiej, oraz układając rysy jego twarzy po śmierci w straszną dla ojca formułę przekleństwa, czyni ją, mimo szczupłości odtwarzających słów, przerażającą dozgonnym wyrzutem wyrządzonej krzywdy. Szczegółów, obraz śmierci składających, — mało, słyszymy ją raczej w skardze bezbronnego wobec wyroków boskich, coraz smutniejszego ojca.

w. 144: skościł zam. skostniał. W wierszu tym mamy rodzaj aliteracji.

w. 151—155: Początek wiersza 151, będący jednym krótkim, pozornie spokojnym słowem, stwierdzającym ogrom tragicznego faktu, to

- Że jeśli reszcie Pan Bóg nie przebaczy,
Jeśli Anioła śmierci przyszele po nie:
Dziecko mi weźmie — żonę — a po żonie
- 155 Mnie nieszczęsnego zawoła przed Stwórcę.
Córka! — Ja myśleć nie śmiałem o córce!
I twoga o nią nie gryzła mię żadna.
Ach, ona była młoda! taka ładna!
Taka wesoła, kiedy moją głowę
- 160 Do lilijowych brała chłodzić rączek,
Kiedy robiwszy z jedwabiu osnowę,
Okolo cedru biegła po trawie,
Jak pracowity snując się pajaczek.
Patrz! i ten pas mój błyszczący jaskrawie
- 165 Ona robiła — i te smutne oczy
Ona rąbkami złocistych warkoczy

oczywiście środek techniczny, stanowiący przejście do dalszego opowiadania. W kilku urwanyh zdaniach następnych wyraża poeta w sposób niesłychanie silny wzmagającą się coraz bardziej burzę bólu, którą przerywa na chwilę krótki grzmot rozpacz: Córka!

w. 156—218: Rytmika wierszy zwalnia się i ścisza zupełnie naturalnie i subtelnie. Gdyby się chciało użyć obrazowego porównania, trzeba by było określić ten cały ustęp obrazem przyrody w chwili, kiedy po uderzeniu piorunu przez rozsunięte nieco chmury pokaże się słońce i pocnie roziskrzac się w tęczę w cicho spadających łzach deszczowych. Przez krótką chwilę, zanim chmury przysłonią znów słońce, cały świat złoci się światłem.

Niedający wyrazić się bezmiar bólu wyraża poeta sześciu dotąd nieużywanemi sposobami: 1) dwa razy (w. 156 i 200) powtórzonem jednym słowem: Córka!, którego treść uczuciową wzmagają celowo dodane wykrzykniki, oraz oddzielenie go pauzą od reszty wyrazów, oddających inne uczucia; 2) cudownym obrazem anielskiej dobroci i mrówczej pracy dziecka; 3) chwilową pewnością (w. 182) i chwilową złudą szczęścia (w. 197); 4) motywem przeczucia (w. 183—193); 5) rozpaczliwą prośbą córki o ratunek (w. 205); 6) litością strażników, którzy *nieostrożnie zaczęli hakiem...* Powtarza się natomiast znany z w. 87 motyw nadziei i pewności, że się już bałwan nieszczęścia przewalił, bo tu jak i tam, *dziesięć dni przeszło*.

Śmierć sama oddana przerażająco krótko, a tem straszniej — dla ojca, że ta najdroższa dziewczyna *piękna była jak Anioł — po śmierci*.

Po raz pierwszy sam ojciec wynosi trupa na »mentarż«, aby obecność dziecięcia przedłużyć...

Rozległość skali uczuciowej — olbrzymia jak dusza...

Bibl. Nar. Nr. 49 (J. Słowacki: Trzy poemata)

Tak przesłaniała: że patrzałem na nią
 Jako na różę, przeze lzy i słońce.
 Ach, ona była domu mego panią!
 170 Ona, jak jaśni anieli obrońce,
 Najmniejsze dziecko w kołysieczce strzegła.
 I gdzie płacz jaki słyszała, tam biegła;
 I wszystkie nasze oplakała ciosy,
 I wszystkie nasze lzy — wzięła na włosy.

175 Dziesięć dni przeszło, i nocy tak długich,
 Że śmierć już mogła na gwiazdy odlecieć.
 Dziesięć dni przeszło, dziesięć nocy drugich
 Przeszło — nadzieja zaczynała świecić...
 Po dzieciach ustał wielki płacz niewieści,
 180 I naliczyliśmy ranków trzydzieści.
 Nareszcie zbywszy pamięci i mocy,
 Położyłem się i zasnąłem w nocy.
 I we śnie, w lekkie owinięte chmury,
 Ujrzałem moje dwie umarłe córky.
 185 Przyszły, za ręce trzymając się obie;
 I pozdrowiwszy mnie pokojem w grobie,
 Poszły oczyma cichemi błyszczące,
 Nawiedzać inne, po namiocie śpiące.
 Szły cicho, zwolna, schylały się nisko,
 190 Nad matki łóżem, nad dziecka kołyską;
 Potém, na moją najmłodszą dziewczynę
 Obiedwie, ręce położyły sine!
 Budzę się z krzykiem i umarłą dziatwę
 Klnąc, wołam dziko: Hatfe! moja Hatfe!
 195 Przyszła jak ptaszek cicho po kobiercu,
 Rzuciła mi się rączkami na szyję;

I przekonałem się, że Hatfe żyje,
 Słyszac jej serce bijące na sercu.
 Ale nazajutrz grom przyszedł uderzyć —
 200 Córka!!! — Lecz naco z boleścią się szerzyć?
 I te mi dziecko sroga śmierć wydarła!
 I ta mi córka na rękach umarła!
 A była jedna najstraszniejsza chwila —
 Kiedy ją bole targaly zabójcze,
 205 Wołała: Ratuj mię! ratuj, mój ojczel!
 I miała wtenczas czerwone usteczka,
 Jak młoda róża kiedy się rozchyła. —
 I tak umarła ta moja dziewczeczka,
 Że mi się serce rozdarło na ćwierci —
 210 A piękna była jak Anioł — po śmierci!

Przyszli nademną płakać nieborakiem
 Strażnicy; przyszli mi wydrzeć to ciało.
 I nieostróżni zaczepili hakiem —
 Hak padł na pierś jej twardą, kragłą, białą...
 215 I tu — bogdajby jak ja nie umarli! —
 Tu ją pod memi oczyma rozdarli. —
 Ty im to, Boże niebieski, spamiętasz!
 Wzięłem ją — i sam zaniósłem na cmentarz.

Z założonemi na piersiach rękoma
 220 Siedziała trzy dni matka nieruchoma,
 W kącie namiotu, żółta, jakby z drewna.
 Dziecina stała się blada i rzewna;
 Bo mléko matki zaczęło wysyszać,

Od w. 219 wchodzi do »akcji« poematu — matka; głos bólu poczynają
 wydawać odtąd dwie struny.

I co dnia było płacz w kołysce słychać.
 225 A ta pustynia — nie masz dzieci w grobie! —
 Ona inaczej wydaje się tobie,
 Może zlocista, jasna i weselna?
 Lecz dla mnie, jest to równina piekielna!
 Przez tę równinę, przez te piasku kupy,
 230 Ciągnięto śniade moich dzieci trupy.
 A tam na wzgórzu, kędy morze bije:
 Dla ciebie szumi morze — dla mnie wyje;
 A kiedy z wichrem na brzegi nie skacze,
 Dla ciebie szemrze tylko — dla mnie płacze.
 235 Co dnia, gdy przyszła wieczorna godzina,
 Śpiewającem słyszał muezina:
 Jakby się nad mym ulitował losem,
 Zaczął smutniejszym obwoływać głosem,
 Krzycząc ze swego piaskowego stoga
 240 Nieszczęśliwemu ojcu — wielkość Boga.
 O! bądźże mi ty pochwalony, Alla!
 Szumem pożaru, co miasta zapala,
 Trzęsieniem ziemi, co grody wywraca,
 Zarazą, która dzieci mi wytraca

w. 225—262: Minęło 5 dni, pełnych ptaszcęgo płaczu najmłodszego dziecka, »bo mleko matki zaczęło wysychać« — spokojnych jednak w porównaniu z minionymi chwilami burz. Dusza nieszczęśliwego mogła więc w tej piekielnej ciszy uświadomić sobie całą otchłań swojego nieszczęścia. Robi to zaś poeta w ten sposób: 1) kazał Arabowi »przeciwstawić« siebie temu, komu opowiada swoją tragedję (*nie masz dzieci w grobie!*) i wskutek tego uświadamiać sobie zgołą inną relację duszy do przyrody (w. 225—234); 2) zestawiając spokojny śpiew muezina z tragicznym, potwornie prawdziwym hymnem ojca-fatalisty; 3) psychologicznie prawdziwym, a artystycznie przepysznie wyżykanem spostrzeżeniem nieszczęśliwego Araba, że wszyscy i wszystko zaczęło stronić od niego.

W krag tego zainteresowań psychicznych poczynają teraz wchodzić wróbelków krocie, które przedtem (w. 37—38) stanowiły przedmiot zainteresowania tylko w roku.
 w. 236: *muezin* — nazwa arabska, oznaczająca zwołującego na modlitwę do meczetów wielkich; *mafe* — muezinów nie posiadają, zwołowaniem zajmuje się sam duchowny (imam).

245 I bierze syny z łona rodzicielki.
 O! Allach Akbar! Allach! jesteś wielki!

Wszystko, co miało tylko twarz człowieka,
 Zaczęło stronić odemnie zdaleka.
 Namiotu mego — córki go uprzedły —
 250 Płótna na rosie poczerniały, zwiędły,
 I podarły się, i lekko napięte
 Były jak próchna z ludzkich trumien zdjęte.
 Zarazę było znać na tym namiocie —
 I wiesz? że nawet tych wróbelków krocie,
 255 Co zlatywały się tutaj o brzasku,
 Jeść okruszyny i kąpać się w piasku:
 Odkąd mi dzieci zaczęło ubywać,
 Po żer przestały się wszystkie zlatywać.
 Czy odstraszyło je podarte płótno
 260 Namiotu mego? czy twarz moja biedna? —
 Nie przyleciała z ptaszyn ani jedna
 I spostrzegłem to — i było mi smutno.

Po córce w pięć dni — o! Boże mój! Boże!
 Z wieczora huczeć już zaczęło morze,

w. 246: *Allach Akbar! Allach, jesteś wielki!* — Allach, nazwa jedyne Boga muzułmanów. Godłem nauki jest znane u muzułmanów wyznawanie wiary: *La ilaha illa Allaha* (nie masz Boga oprócz Allaha). Allach jest wieczny, istnieje sam przez się, sobie samemu wystarcza, nie ma sobie równego, nie był spłodzony i sam nie płodzi nikogo; zapelnia świat cały, jest panem ciała i ducha, jest niewidzialny i obecny na każdym miejscu.

w. 263—280: Cały ten ustęp składa się z dwu wyraźnych części: Pierwszą stanowi muzyczno-nastrojowy obraz burzy (w. 263—274), zupełnie niemal identyczny z tym, jaki Słowacki dał w przedmowie (w. 52—70), z pewnemi tylko zmianami, czasem czysto wyrazowymi, tego samego pojęciowo-uczuciowego stosunku człowieka do otoczenia, zależnego od odmiennych zupełnie sytuacji poety i Araba (np. Słowackiemu namiot »zaczarowany od piorunów« wydawał się ognistym i strzegącym łoża bezsennego cherubinem, Arabowi — namiot w czerwieni piorunów wydawał się »podobny grobom szatańskim z płomieniami«; drugą część stanowi muzyczno-

- 265 I słońca się krąg pochował ponury,
I niebo czarne zaciągnęły chmury.
Noc przyszła, dotąd w pamięci ohydna,
Ciemna, od gromów czerwoności widna.
Jeszcze dziś czuję i widzę i słyszę,
270 Słyszę, jak namiot gęste sieką deszcze,
Jak się rozciąga, jak głucho szeleszcze,
Jak się nademną w ciemności kołysze
I od piorunów się cały czerwieni,
Podobny grobom szatańskim z płomieni.
275 Zdawało mi się, za burzy łoskotem,
Żem słyszał martwe dzieci, za namiotem,
Wszystkie jęczące przeraźliwie, głucho.
Więc natężyłem wzrok, serce i ucho;
I z przerażeniem rozmyślałem w sobie,
280 Jak moim dzieciom takiej nocy w grobie?

I nagle — czemuż ta śmierć tak zdradziecko!
Tak cicho weszła pod namiotu żagle?! —

uczuciowy wyraz duszy Araba. Stan ten, to chorobliwe już prze-
czulenie nerwów, na których złudzenie gra wprost straszliwą
melodję pewności... Ucho pochwytyuje nieegzystujące w rzeczy-
wistości jęki, jakby przerażonych burzą dzieci, transponując
w przestrzeń żywe wciąż w duszy ojca głosy dzieci żyjących...

w. 274: obraz dantejski.

w. 281—302: poświęcone śmierci ostatniego dziecka, którą poeta wyraża
zapomocą 1) płaczu dziecka, 2) elementu ruchu, czynności obojga
rodziców (w. 286—287) i 3) uczuć, które ten jęk *tak rozumny!*
i taki przeklęty!!! obudził w duszach ojca i matki.

Nie używa natomiast barw żadnych, raz jeden tylko ujmując
śmierć określeniem barwnym («śmierć mi go czarna wzięła
nielitośnie» w. 299). Uczucia nie wyrażają się nadto same, to jest
nie wyraża ich poeta obrazem, sceną ruchu czy gestem ojca,
ale (oczywiście ustami Araba!) nazywa je, albo odpowiednią
rytmiką oraz ciągiem przelamywaniem wiersza i jego myślowo-
uczuciowej treści — potęguje (n.p. w. 288—292, w. 294, 298, 300, 302).

Rytmika niektórych wierszy równa rytmice wierszy poprze-
dnic (rzecz naturalna!), bo są one wyrazem tych samych uczuć —
n.p. w. 294 i w. 70. Mistrzowska jest rytmika w. 298 i 302. Oba są
płaczem beznadziej: pierwszy — jakgdyby szlochem złamanego
zupełnie świadomością straty serca, drugi — jakgdyby długim
szlochem świadomości mózgu, że to jest strata bezpowrotna.

- Grom spadał hucząc po gromie — i nagle
W kołysce z cicha zapłakało dziecko —
285 A płacz ten musiał być strasznym wyrazem...
Bo zaraz — matka — ja — oboje razem —
Rzuciliśmy się, gdzie robaczek lichi...
A choć dziecięcia jęk był bardzo cichy,
To tak wydawał się obójgu głośny,
290 I tak rozdarty, i taki żałosny,
I tak z głębokich wnętrzości wyjęty!
I tak rozumny! i taki przeklęty!!!
Żeśmy oboje biegli gromem tknięci,
I bez nadziei już! i bez pamięci!
- 295 I nie zawiodło przecucie żałoby!
Umarło — z takiej jak tamte choroby.
I poszło leżeć między trupy bratnie,
Moje najmilsze!... i moje ostatnie!!!
Śmierć mi go czarna wzięła nielitośnie.
300 I już nie wróci! ani mi urośnie!
Ani go kiedy mój dom już zobaczy! —
I już nie wróci nigdy! — o! rozpaczyl!!!

Noc przyszła druga, błyszcząca gwiazdami..
Byliśmy z matką w namiocie — przed nami
305 Leżało dziecko na stole, nieżywe,
Nieruchomością śmierci przeraźliwe.
Uczulem wtenczas, patrząc na tę postać,

w. 303—314: to obraz chwili bezpośrednio po śmierci dziecka, kiedy
trup jeszcze na stole. Dusza zupełnie złamanego ojca ma jeszcze
ostatnie pragnienie, świadczące o kołatającej się w niej zrazu
rozterce energii uczuciowej (w. 307—310); poczem traci zupełnie
władzę, tak, że już nawet drogiego trupka sam wynieść nie może
(*Ale je matka tam zaniósła sama*).

Że gdyby mogło choć tak z nami zostać,
 Przez wszystkie lata — choć tak, nie inaczej —
 310 Ubyłoby mi z serca pół rozpacz.
 A te już — ani zarazy strażnicy,
 Ani ja niosłem do Szecha kaplicy,
 Gdzie się nam trupia otwierała brama:
 Ale je matka tam zaniósła sama.

315 W namiocie pustym ja zostałem z żoną.
 Ale czy pojmiesz? — zamiast nas połączyć,
 Bolesć, obójgu nam rozdarłszy łono,
 Zaczęła jakieś jady w serca saczyć,
 I teraz chyba je sam Bóg oczyści.
 320 Smutek podobny był do nienawiści,
 I stanął czarny, wielki, między nami.
 Więc rozłączeni byliśmy i sami.
 I nie mówiliśmy do siebie słowa —
 Bo powiedz, jakaż być mogła rozmowa,
 325 W pustym namiocie między mną i żoną?
 Pomiędzy ojcem i matką tych dzieci?...
 Słońce wschodziło w upały czerwono,
 Co dnia tonęło tam, gdzie teraz świeci,
 Jak jaka skrawa pożaru pochodnia. —
 330 Więc tak bezdziejnym było — i tak co dnia —
 Cisza ogromna namiot nasz zaległa.

w. 315–356: Przeklęty płócienny dwór opustoszał. Zostało w nim tylko dwoje ludzi, pomiędzy którymi zerwały się wszelkie nici. Patologja bólu oddana z fenomenalną prawdą tak, że wyraz tej prawdy (w. 316–318) stał się własnością wszystkich. Araba czeka jeszcze śmierć jedną, a przygotowywa ją poeta zaznaczeniem niesamowitych barw twarzy i oczu tej, która ma umrzeć. Są one niezawodną i oczywistą zapowiedzią niedalekiej śmierci, której poeta poświęca zaledwie 2 wiersze. Dusza Araba rozpada się w proch (w. 355).

w. 329: skrawa — skrzypiąca się, płonąca.

Chyba mysz jaka w księżycu przebiegła;
 Zgoła innego jęku ni szelestu...
 Doczekaliśmy więc tak dni czterdziestu.
 335 I kwarantanny przybyli lekarze,
 Głęboko patrząc w nasze smutne twarze.
 Widziałem, jak się każdy z nich zadziwiał;
 Bo nachyliłem się był i posiwał.
 A żona moja od niespań i troski,
 340 Była jak bursztyn, albo żółte woski;
 Na głowie miała z włosów siwych wieniec,
 Jakiś okropny ceglany rumieniec,
 A oczy pełne takięj błyskawicy,
 Jak ci, co wyjdą na słońce z ciemnicy.
 345 Lekarz nam kazał w sustawy uderzyć,
 Tam, gdzie zaraza pierwsze rzuca strupy —
 Zdrów byłem. — Ludzie! czy będziecie wierzyć?
 Ja, co me wszystkie całowałem trupy,
 Z téj kwarantanny wychodziłem zdrowy:
 350 Żona, co nawet nie tknęła połowy,
 Nad piersiami się uderzywszy, zbladła,
 I zachwiała się z jękiem — i upadła.
 A ja na ręce wziąłem trup niewieści,
 Zaniósłem w namiot i rzuciwszy brzemię,
 355 Upadłem przy niej, jak martwy na ziemię.
 I obudziłem się — na dni czterdzieści....

Przed samą śmiercią wyznała mi matka,
 Że chciała z grobu swojego dzieciątka

w. 332: Chyba mysz jaka w księżycu przebiegła — należy rozumieć: chyba myśz jaka przez światło księżyca przebiegła, wydając lekki szelest. Przelatujące w świetle księżyca myszy zauważył także byronowski *Węzień Chillonu*.

w. 345: w sustawy — w stawy nad piersiami.

w. 357–400: Po 40 dniach zupełnej martwoży, wynosi ojciec zadżumio-

Jakięj pamiątki, kamienia, lub kwiatka,
 360 Włoska w złocistych na głowie obrączkach;
 I ta po dziecku umarłém pamiątka —
 Patrzaj! obrazek ten, co trzymał w rączkach,
 Te włoski złote i tak dzisiaj święte,
 W mogiłce z główki małego zdjęte —
 365 Bo biedna matka miała tyle mocy,
 Ze odkopała dziecko o północy;
 Znalazła jeszcze niezsutém wcale,
 Pocałowała w usteczek korale
 I znów włożyła do trupich obsłonek —
 370 Te upominki i ten pocałunek,
 Zazdrośnej ziemi Szecha ukradzione,
 Zabiły matkę i wzięły mi żonę.

I znów się łono piaskowe otwarło,
 Gdzie pochowałem matkę martwych zmarłą.
 375 Potém wróciłem do płóciennęj nory,
 Schować się w cieniu, jak nocne potwory.
 Ani ja słońca na niebieskim sklepie,
 Ani mnie ludzie widzieli na stepie.
 Stałem się jako zdzieciniali — starzy —
 380 W pamięci mojej, żadnej żywej twarzy,
 Tylko te sine i okropne lica,
 Które mi wzięła zarazy martwica.

nach ostatniego trupa na cmentarz, sam zgola trup, jeno żywy, jako *zdzieciniali starzy*, żyjący tylko umiłowaniem przeszłości, ku której biegł miłosnymi wyrazami serca i ust... Żył się i rozumiał tylko... śmierć. Wskrzesał go z niej (rzecz charakterystyczna dla poetów!) nie człowiek żaden, ale wielbłąd z *twarzą tak litośną*. I oto zrywa *koły i powrozy*, bo życie nie rozumie martwoty, a tej pracy przypatruje się człowiek — ciekawy, nie zdający sobie zresztą sprawy z możliwości następstw...

Próżny jednak każdy wysiłek energii ludzkiej, bo światem rządzi Bóg-przeznaczenie, więc
O! bądźże mi ty pochwalony, Alla!

I w dzień błękitny i w noc każdą ciemną
 Oni tu byli w tym namiocie ze mną;
 385 Gadałem z niemi, zmyślałem rozmowy,
 W których rozmawiał ze mną tłum grobowy;
 I często dziwnym natrafiłem losem
 Na głos, co moich był dzieciątek głosem.
 Z obłąkanego budziły mnie śnicia
 390 Po nocy hyen przeraźliwe wycia,
 Tam nad trumnami... i słuchałem błądy,
 Jak nad trupami płaczą trupojady.
 Stałem się wreszcie jak wąż, gdy ochłodnie.
 I przechodziły mi dni i tygodnie,
 395 Bez żadnych bólów, pamiątek, omamień.
 Stałem się twardy i zimny jak kamień.
 I raz — ach, Boska nademną opieka!
 Patrzę, ktoś w namiot mój cicho zagląda —
 I ach! — nie była to już twarz człowieka,
 400 Lecz głowa mego starego wielbłąda.
 Spojrzał — i spojrział z twarzą tak litośną,
 Że rozplakałem się jak dziecko głośno.

I tak przeżyłem smutnych dni czterdzieście;
 Przyszli mię ludzie uwolnić nareszcie.
 405 O! gorzka wolność i chwila odlotu!
 Jam do ciemnego już przywykł namiotu;
 Z uczuciem smutku, boleści i zgrozy
 Będę wyrывał koły i powrozy,
 Które... (o! Boże wiekuisty świeć mi!...)
 410 Do tego piasku zatykałem z dziećmi.
 Ach, pomóż ty mi je zerwać — sam jestem!
 A może tobie posępnym szelestem

Te płótna więcej boleści powiedzą?
 One widziały wszystko! wszystko wiedzą!
 415 Czyż nie są teraz jak męki obrazy?
 Patrz na nie, dotknij! nie bój się zarazy,
 Nie bój się śmierci, co dotknięciem sinem...
 Wszak ty nie jesteś, synu, moim synem.
 Lecz nie — uciekaj! ja wiem, że te płótna
 420 Straszne się muszą obcym ludziom zdawać.
 Śmierć od zarazy? ach! to śmierć okrutna!
 Zaczynasz własnych braci nie poznawać,
 Potem cię ogień pali, piersi gorą...
 Ach! ja tak moich widziałem ośmioro!
 425 I co dnia patrząc na tak konające,
 Wysiedziałem tu całe trzy miesiące.
 Dziś — oto dziewięć wielbłądów podróżnych,
 A na nich — patrzaj, osiem juków próżnych.
 I nie zostało mi nic — oprócz Boga;
 430 I tam mój cmentarz — a tamtędy droga. —

W SZWAJCARJI

I.

Odkąd zniknęła jak sen jaki złoty,
 Usycham z żalu, omdlewam z tęsknoty.
 I nie wiem, czemu ta dusza, z popiołów,
 Nie wylatuje za nią do Aniołów?
 5 Czemu nie leci za niebieskie szranki,
 Do téj zbawionéj i do téj kochanki.

II.

W szwajcarskich górach, jest jedna kaskada,
 Gdzie Aar wody błękitnymi spada.
 Pozwól tam spojrzeć zawróconéj głowie.
 10 Widzisz tę tęczę na burzy w parowie?

w. 1: Poemat *W Szwajcarii* urodził się cały z »poezji wiosny i Szwajcarskiego powietrza«. Że zaś »wśród takiej natury trzeba być smutnym, albo trzeba się kochać«, przeto — jak powiada poeta — »w mojej głowie utworzył się jakiś obraz, jakieś wyobrażenie ogromnej miłości niepodobne do osiągnięcia«. Nieporównanie bogata wyobraźnia stroiła to »wyobrażenie« we wszystkie cuda barw, na które patrzyły zasłonięte mgłą smutku oczy poety. Roztęsknione i łaknące uczucia serce — poczęło wierzyć w prawdę i rzeczywistość »urojeń i marzeń«. Kiedy zaś Słowacki wrócił »przez Bern do domu najprozajszej w świecie rzeczywistości, zastał dom, pełny cudzoziemców (dosłownie i przenośnie!) i może z tej przyczyny wojaż zostawił — mu — jakiś ponury smutek i tęsknotę, które zmieniały się z wolna w »żal i tęsknotę za tą, która jakby »zniknęła jak sen jaki złoty«, wyczarowana tęsknotą smutnego serca człowieka i romantyczną wyobraźnią artysty-poety.

w. 8: Aar — po Renie i Rodanie największa z rzek Szwajcarii. Początek bierze z lodowców Grimsel i Schreckhorn i przepływa przez jeziora Thun i Brienz. Kaskada, o której mówi Słowacki, to wodospad jego, Hangsegg, jeden z najpiękniejszych w Europie. Olbrzymie masy wody, spadające w przepaść, rozpylają się w burzę mgły, na której, niby na srebrzystych krosnach, haftuje słońce ogromne łuki tęczy.

Na mgłach srebrzystych cała się rozwiesza,
 Nic ją nie zburzy, i nic ją nie zmiesza;
 A czasem tylko jakie białe jagnie
 Przez tęczę idzie, na skraju doliny
 15 Szczypać kwitnące róże i leszczyny;
 Lub jaki gołąb, co wody zapragnie,
 Jakby się blaskiem pochwalić umyślnie,
 Przez tęczę szybko przeleci i błysnie.
 Tam ją ujrzałem! i wnet rozkochany,
 20 Że z tęczy wyszła i z potoku piany,
 Wierzyć zacząłem i wierzę do końca;
 Tak jasną była od promieni słońca!
 Tak pełna w sobie anielskiego świtu!
 Tak rozwidniona zrennicą z błękitu! —
 25 Gdy oczy przeszły od stóp do warkoczy,
 To zakochały się w niej moje oczy;

w. 13—18: Na tle tych tęcz ukaże się czasem na chwilę *jakie białe jagnie..* lub *jaki gołąb*, ażeby zniknąć, jak zniknie potem kochanka, biała niż *góry nadalpejskich śnieżysta dziewica*.

w. 19—21. Zjawienie się kochanki *pod jasną tęczą różnofarbną bramą* i wiara kochanka-poety, że *z tęczy wyszła i z potoku piany*, to nie tylko obraz poetycki, plama barwna malarza, to absolutna wiara poety (*wierzę do końca*) w objawienie się świetlanego ducha, zaklętego w ciało przez tęczową moc i wyobraźnię przyrody. Kochanka — to jedna z cór duchów przyrody. Wyborną interpretację tego nastroju (który wyraża w. 19) — powiada J. G. Pa-wlikowski — daje Syberyna w fragmencie dramatu *Krakus*:

Czy my jesteśmy, ojczy, w jakich stronach
 Zaczarowanych?... Pokaż mi istotę,
 Którą ja kochać mam — bo już się kocham...
 Już zakochałam się ojczy w kolorach,
 W ciepłym powietrzu, co powiewa wonne
 I księżycowi chłód odbiera z twarzy...

Słowacki miał przedziwną zdolność czy właściwość barwnego widzenia i słyszenia, syntetyzującego istotę zjawiska, osoby czy uczucia w jakiejś jednej barwie. Wiadomo, w jakich barwach widział *Makbeta* i *Sen nocy letniej* Szekspira n.p. Każda zaś taka barwa zarazem »gra i płonie«. Tworzą się jakieś barwne muzyczne poematy, niby nieuchwytnie lśnienia »rozlewnej« wyobraźni poety, bez kształtu i bez tła. Nie pytamy o kontur zjawiska czy człowieka, mówi do nas ich istota, nie przez ruch czy usta, ale jej barwą czy tonem.

A za tym zmysłem, co kochać przymusza,
 Poszło i serce, a za sercem dusza.
 I tak się zaczął prędko romans klecić,
 30 Że chciałem do niej przez kaskadę lecić;
 Bo się lękałem, że jak widmo blade,
 Nim dusza ze snu obudzona krzyknie,
 Upadnie w przepaść, w tęczę i w kaskadę,
 I roztopi się i zgaśnie i zniknie;
 35 I byłem jak ci, co się we śnie boją,
 Bo jużem kochał, bo już była moja.
 I tak raz pierwszy spotkałem ją samą,
 Pod jasną tęczą różnofarbną bramą;
 Powiew miłości owiał mię uroczy,
 40 Stałem przed nią i spuściłem oczy.

III.

Poszedłem za nią przez góry, doliny.
 I zśliśmy razem u stóp téj lawiny,
 Gdzie śnieg przybiega aż do stóp człowieka
 Spłaszczoną pletwą, jak delfin olbrzymi;
 45 Para mu z nozdrza srebrzystego dymi,
 A Rodan z paszczy błękitnej ucieka.
 Pamiętam chwilę... poranek był skwarny.
 Tameśmy szmerem spłoszyli dwie sarny;
 Te, jakby szczęścia ludzkiego świadome,

w. 27: *A za tym zmysłem...* Uczucie rodziło się więc w oczach, za którym *sztó serce i dusza*; było więc nakazem rozkochanych w pięknie oczu, wyobraźni.

w. 31: Poeta z rozmysłem podkreśla nierealność zjawy, uroczystą rytmiką wiersza wywołując *widmo blade*, które jak senne widzenie rozrzuconej duszy zgasnąć może nagle pod zbyt ostrym światłem dnia.

w. 42—46: Rodan wypływa z lodowca (Rhône-Gletscher), rozciągającego się tarasami około 10 kilometrów. Żywej wyobraźni poety lodowiec przedstawia się jako olbrzymi delfin, z którego nozdrzy dymi para, a z którego błękitnej paszczy wypływa Rodan.

Bibl. Nar. Nr. 49 (Słowacki: Trzy poematy)

50 Stanęły blisko, złote, nieruchome;
 I utopiły oczów błyskawice
 W kochanki mojej błękitne zrennice;
 I długo patrząc, nieruchome obie,
 Głowy promienne pokładły na sobie.
 55 Rzekłem: — one się zakochały w tobie!
 Rzekłem — i za to z ust zamkniętych skromnie
 Najpierwszy uśmiech jej przyleciał do mnie,
 Przyleciał szybko i wrócił z podróży,
 Do swego gniazda, do pereł i róży;
 60 A gdy zobaczył, że oczów nie mrużę,
 Całą jej białą twarz zamienił w różę.
 A wiecie? ani tak za serce chwyta
 Rumieniec kwiatu, co świeżo rozkwita;
 Ani tak oko wędrowca zachwyca
 65 Gór nadalpejskich śnieżysta dziewica,
 Kiedy od słońca różane ma lica:
 Jak ten rumieniec bez wstydu i grzechu,
 Co się na twarzy urodził z uśmiechu.

IV.

Odtąd szczęśliwi byliśmy i sami,
 70 Płynąc szwajcarskich jezior błękitami,
 I nie wiem, czy tam była łódź pod nami;
 Bom z duchy prawie zaczynał się bratać,
 Chodzić po wodach i po niebie latać,
 A ona tak mię prowadziła wszędzie!
 75 Ach! ona była jak białe łabędzie,
 Była jeziora błękitnego panią;

w. 65: *Gór nadalpejskich śnieżysta dziewica...* to Jungfrau, szczyt w Alpach bernieńskich.

Płynęła lecąc — łódź leciała za nią,
 Za łodzią jasność szafirowym szlakiem,
 Za tą jasnością rybek korowody,
 80 I wyrzucały się aż do niej z wody;
 I z takimeśmy płynęli orszakiem,
 Uśmiechając się w błękitu krainie.
 Bo ona była jak wodne Boginie:
 Miała powozy z delfinów, z gołębi,
 85 I kryształowe pałace na głębi,
 I księżycowe korony w noc ciemną...
 I mogła była, co chce, zrobić ze mną.

V.

Raz — że nie była niebieskim aniołem,
 Myślałem całe długie pół godziny;
 90 Wypowiadałem się potem z tej winy —
 Słuchajcie! — Oto przed Tella kościołem
 Pierwsza na kamień wyskoczyła płocha
 I powiedziała mi w głos, że mnie kocha,
 I odesłała mnie znów na jezioro;
 95 Łódkę mą piersią odtrąciwszy białą...
 A ja — ach nie wiem, co się ze mną stało!
 Czy mnie anieli do nieba zabiorą,
 Czy grzmiące fale jeziora pochłoną,
 Czy uśmiechami rozrywa się łono,
 100 Czy serce jak lód rozegrzany taje,
 Czy dusza skrzydeł anielskich dostaje,
 Czyli w nią wstąpił cały anioł złoty?
 Czyli uśmiechów pełna? czy tęsknoty?

w. 91: *Oto przed Tella kościołem...* Kaplica Wilhelma Tella, zbudowana na pamiątkę oswobodziciela Szwajcarii nad brzegami jeziora Czterech Kantonów, u stóp góry Axenberg.

Wszystkie uczucia gwałtownymi loty
 105 Na serce spadły, jak gołębi chmura,
 Pię łyzy i białe w nim obmywać pióra,
 Aby się czyste rozlecieć po niebie...
 Wtém zawołała łódź ze mną do siebie.
 Usłyszała ją łódka i spostrzegła,
 110 I sama do niej z błękitu przybiegła.

VI.

Pod ścianą ze skał i pod wieńcem borów,
 Stoi cichości pełna i kolorów
 Tella kaplica. Jest próg tam na fali,
 Gdzieśmy raz pierwszy przez usta zeznali,
 115 Że się już dawno sercami kochamy:
 A pod tym progiem są na wodzie plamy
 Od sosen, co się kołyszają na niebie,
 I od skał cienia; gdzie mówiąc do siebie,
 White do wody trzymaliśmy oczy.
 120 A pod tym progiem, fala tak się toczy,
 I tak swawolna i taka ruchoma,
 Że wzięła w siebie dwa nasze obrazy
 I przybliżała, łącząc je rękoma,
 Chociaż nas tylko łączyły wyrazy.
 125 Ach! fala taka szalona i pusta!
 Że połączyła nawet nasze usta,
 Choć sercem tylko byliśmy złączeni.
 Fala tak pełna ruchu i promieni,
 Że jednym światła objawszy nas kołem,

w. 115: Wyznanie uczuć nastąpiło pod Tella kaplicą, która była *cichości pełna i kolorów*, nad ruchomą falą, która *szalona i pusta... zmięszała niby anioła z aniołem*, budząc w aniołach... człowieka. Naturalne prawo przyrody!

130 Zmięszała niby anioła z aniołem.
 Gdy myślę — boleść dręczy mię niezmierna.
 Falo! niewierna falo! — i tak wierna!

VII.

Raz mię ów anioł zaprowadził złoty,
 Przez jasne łąki do lodowej grotty.
 135 Tam ją obielił dzień alabastrowy;
 I mróz na czole mój jasnej królowej
 Perłami okrył wszystkie polne róże;
 I ze sklepienia łyzy leciały duże;
 A we łzach sylfy z jasnością ogromną
 140 Deszczem spadały, na białą i skromną.
 Słyszac, że ściany płaczą coraz głośniej,

w. 41—132: Ustępy III, IV, V i VI — to jakby malarsko-muzyczna projekcja rozkochanej duszy, błękitno-biały hymn płonącej wyobraźni romantycznego poety, która anioła widziała w kochance i sama z *duchy zaczęła się bratać*, *Chodzić po wodach i po niebie latać*. Cudownie piękne *widmo* rzuciło sugestywny czar na duszę kochanka-poety, że *poszedł za nią przez góry, doliny — I szli tak razem u stóp tej lawiny...*, jak *dwie mary dziwne*, obie z *promienia*, bez *wstydu i grzechu...* jak *dwa — żywe — sny o szczęściu*.

Oczywiście dominujący wpływ na taką koncepcję kochanki wywiera przyroda, która — jak sam powiada w liście do matki — *»wpłynęła wiele na wewnętrzne we mnie anioła«*. Nakazy przyrody odczuwał poeta zawsze. N.p. jesienna *»myśl śmierci«* przełamała się w duszę Kordjana jako *kategoryczny, despotyczny imperatyw*. Poeta wierzy, że jego kochanka, *pani błękitnego jeziora*, *była jak wodne boginie* i miała *kryształowe pałace na głębi*; że miała *władzę nad przyrodą* — i jako przyroda, mogła i ona *co chce, zrobić ze mną*. Nie jest to więc tylko czar kobiecości, ale zarazem czar przyrody.

w. 134: Wspomnienie prawdopodobnie Rosenlauen (Rosenlauri), gdzie poeta widział *»prześliczne glacie«*, gdzie był *»w lodowych gmachach pod sklepieniami błękitnego kryształu«*, *...gdzie »ze ścian gmachów, w których stałem, kropliste od słońca spadały deszcze«* (Genewa, 21 sierpnia 1834 r.).

w. 139: *Sylfy*, inaczej Sylwani, Penaci, Lemury, zwały się w politeistyczno-panteistycznym systemie zwolenników Paracelsa — duchy powietrzne, które na wzór innych żywiołowych duchów były niejako pośrednim ogniwem pomiędzy istotami materialnymi a duchowymi. Równie jak ludzie — jadły, piły, mówiły, chorowały, dzieci rodziły, tem jednak zbliżały się do duchów czystych, że były szybsze, przejrzystsze i sprężystsze od jakiegobądź ciała zwierzęcego, a stąd lepiej i łatwiej znać mogły obecność i przyszłość — i nie dawały się pochwytać, uwięzić.

Cała się szatą okryła zazdrośniej,
I wszystko oczom ciekawym ukradła,
I jeszcze ręce skrzyżowane kładła
145 Na alabastry widne, choć zakryte.

Tak nieruchoma stała — a koło niej
Igrały tęcze w blaski rozmaite.
Ja wtenczas modlić się zacząłem do niej.
Ave Maria!

150 Jak biała róża, kiedy się rozwija,
Róż pokazuje z piersi odemkniętej;
Taki rumieniec wyszedł z lica świętej.
I zamyślona odwróciła głowę,
Palec na ściany kładąc kryształowe;
155 Jak ta, co imie ukochane kryśli,
Lub o błękitnych jakich myślach — myśli.
Wreszcie się do mnie obróciwszy, rzekła:
Może za miłość ja pójdę do piekła,
I gdzieś w piekielne wprowadzona chłody,
160 Wszczepioną będę w kryształowe lody,
Jako ta bańka z powietrza i z tęczy...
Lecz prawda, rzekła: jeżeli się męczy
Ta jasność, słońca stworzona promieniem,
Którą lód w sobie mrozi i zabija:
165 Można ją z lodu uwolnić westchnieniem...
Ave Maria!

w. 166: Cały ustęp VII ogromnie delikatny w pomyśle scenerji i nieporównanie subtelny w grze uczuć obojga kochanków. Mężczyzna-poeta, patrząc na swoją »jasną królową« na tle płaczących ścian alabastrowych, ubiera jej głowę w tęczowe okółka świętości, cały w modlitwie rozkochanego wzroku i ust; kochanka, jakby w nieświadomości jeszcze przeczuciach grzechu, który »rumieńcem wyszedł z lica świętej«, z początku zamyślona, później westchnieniem pragnąca uwolnić z lodu (konwenansów) słoneczną jasność (wzajemnego oddania się sobie duchów), stworzoną promieniem (miłości), którą lód w sobie mrozi i zabija.

VIII.

Pójdziemy razem na śniegu korony!
Pójdziemy razem nad sosnowe bory,
Pójdziemy razem, gdzie trzód jęczą dzwony!
170 Gdzie się w tęczowe ubiera kolory
Jungfrau, i słońce złote ma pod sobą;
Gdzie we mgle jeleni przelatuje skory;
Gdzie orły skrzydeł rozwianych żalobą
Rzucają cienie na lecące chmury;
175 O! moja luba, tam pójdziemy z tobą.
A jeśli z takiej nie wrócimy góry,
Ludzie pomyślą, że nas wzięły duchy,
I gdzieś w niebieskie uniosły lazury;
Żeśmy się za gwiazd chwycili łańcuchy,
180 I ulecieli z pelejad gromadą.
I tylko po nas potok spadnie głuchy,
I błyszczącą się łez rzuci kaskadą.

w. 167—182: Jest to parafraza wiersza, wpisanego do albumu Marji Wodzińskiej, powtórzonego w odmiennej nieco redakcji w liście do matki z d. 7 marca 1835 r. Różni się zaś tem między sobą, że wiersz w albumie jest wspomnieniem szczęścia i cudu, uświadomieniem sobie przez poetę rozstania i przeczuciem... wspomnienia przez kochankę; ten zaś VIII ustęp poematu jest bezpośrednim zwrotem do kochanki (zupełnie naturalnym artystycznie i psychologicznie ze względu na sytuację), uroczystem wezwaniem kochanki w baśniowy kraj... zdala od ludzi. Różni je nadto zakończenie, które tutaj jest poetycką stylizacją (organicznie związaną z ogólnym pomysłem), z właściwym Słowackiemu »motywem odlotu« obojga, niby dwu świetnych gwiazd, z *plejad gromadą*, po których niebo pocnie płakać *łez kaskadą*.

w. 180: *Pelejady* — właściwie Plejady, córki Atlasa i Plejony, w liczbę siedmiu. Po stracie sióstr swych, Hyjad, czy też wskutek niedoli ojca, zadaly sobie śmierć, za co je Jowisz, przemienione w 7 gwiazd, umieścił na niebie. Inne podanie robi je towarzyszkami Artemidy, ściganymi razem z matką przez strzelca Oriona. Na jej prośby, zamienione zostały w gołębicę i przeniesione następnie na niebiosy. Zbiorową ich nazwę wywodzi od greckiego słowa πᾶσι — płynąć, gdyż żegluga poczyniała się ze wschodem 7 gwiazd w dniu 11 maja, a kończyła z ich zachodem dnia 26 października.

IX.

Ach! najszczęśliwsi na ziemi nie wiedzą,

Gdzie duchy skrzydła na ramiona kładną,

185 Gdzie jak łabędzie zadumane siedzą?

Ach! najciekawsii na świecie nie zgadną,

W jakim szalecie żyłem z moją miłą;

I wiele nam róż do okien świeciło,

I wiele wiszeń naokoło rośło,

190 Ile słowików na wiszniach się niosło;

Ile tam w każdą noc miesięczną, bladą,

Kłóteń słowików płaczących z kaskadą;

Ile trzód naszych szło na łąkach dzwonić...

Ach! tego nawet śpiącym nie odsłonić,

195 Ani pokazać, ani zawrzec w słowie...

Łąka i szalet i wisznie w parowie,

W takim parowie, że stróż anioł biały

Rozwijał skrzydła od skały do skały,

I nakrywał ten cały parów dziki,

200 Szalet i róże i nas i słowiki.

X.

Lecz nadto było cyprysowej woni,

I nadto barwy, co się w różach płoni;

w. 187: *szalet* — (franc. *châlet*), chatka, domek szwajcarski.

w. 200: Ustęp IX. Poszczególne ustępy nie łączą się w całość chronologicznie po sobie następujących epizodów, składających poematycznie, ale są jakby odwracaniem kart tego poematu i zatrzymaniem się przy scenach, których *najszczęśliwsi na świecie nie zgadną*. Dusza poety śpiewa najsubtelniejszymi i najświetniejszymi zarazem barwami snów i tęsknot, które wyobrażają za kłętą w mlecze szkła urojen i marzeń. Akeji właściwie niema; poeta nie maluje żadnej sceny, nie śpiewa nawet krótkiej, płynnej melodii palącego się uczucia, sugeruje tylko słowami (w. 183, 186, 194—195) wielkość nadludzkiego szczęścia, każąc je odtworzyć sobie czytelnikowi. Scenerja raju, nad którym jeszcze *stróż anioł biały rozwijał skrzydła*, fascynująco piękna, kusząca... Rolę kusiciela spełnia przyroda.

I chciała nas już miłość ująć zdradą —

Było to rankiem — pomnę — pod kaskadą —

205 Byliśmy niczém niestrwożeni — sami —

Czytając książkę pełną łez, ze łzami.

Wtém duch mi jakiś podszeptnął do ucha,

Ażebym na nią z książki przeszedł okiem. —

Była jak anioł, co myśli i słucha —

210 I nagle — takim przejrzystym obłokiem

Rumieniec smutny twarz jęj umalował,

Że nie wiem dotąd, jak się wszystko stało;

Alem ją w usta różane całował,

I czułem ją tu, na mych rękach, białą,

215 Sercem bijącą, brylantową w oczach.

Wtém nagle — w jasnej kaskady warkoczach

Coś pomieszało się i coś urzekło;

Wiatr na nas rzucił całe wodne piekło,

I z kwiatów spłoszył wilgotnymi mgłami. —

220 Odtąd jużesmy nie czytali sami.

XI.

Odtąd w uśmiechach była dla mnie rzadsza,

Smutniejsza, cichsza i bielsza i bladsza.

W głębszych się coraz zanurzała cieniach,

I obrywała róże na strumieniach;

w. 204—206 (także wiersz 220): podobna scena w *Piekle* Dantego, której bohaterami Francesca z Rimini i Paolo Malatesta. — W. 205 odpowiada słowom Franceszki: *sami byliśmy i bez obawy żadnej*, w. 220 zaś jest parafrazą słów: »Tego dnia jużesmy dalej nie czytali«.

w. 220: Ustęp X. Paraliżująca wolę mocna woń cyprysów i namiętny karmin róż zarzuca delikatne, niewidzialne sieci. W kochanku-poezie, rozkochanym dotychczas w pięknie — budzi się mężczyzna, coraz zaś żywsze przecucia kochanki poczynają zamieniać twarz w płonącą różę. Chwila budzących się zmysłów odtworzona z niezmierną delikatnością. Subtelność muzycznej tkaniny równa mistrzowskiej robocie przędzywa lidyjskiej Arachny, tkanego z promieni wyłaniającej się z morza jutrzeńki.

- 225 Albo przy kaskad naciągniętej lutni
 Stawała słuchać tak, jak ludzie smutni,
 Z twarzą spuszczoną; lub sama w ustroni
 Ręce na białą zakładała szyję,
 Jak ta, co boi się, albo się broni.
 230 Lub jako gołąb, co w strumieniu pije,
 Do nieba jasnym wlatywała okiem.
 Już wolnym, sennym błakała się krokiem,
 I jaskółeczek utraciła zwinność,
 I zadumała ją całą — niewinność.

XII.

- 235 Widząc ją taką, chciałem bronić siebie,
 I rzekłem: Luba! jak Bóg jest na niebie,
 Z sercaś mi wszystko odpuścić powinna;
 Lilija jedna wszystkiemu jest winna.
 Otoś ty wczoraj w tym źródle, co bije,
 240 Na jasnej łące, myła twarz i szyję;
 A tam za tobą prosta, niedaleka,
 Jak służebnica, co z rąbkami czeka:
 Lilija jedna cała jasna, w bieli,
 Oczekiwała, aż wyjdiesz z kąpieli.
 245 Widząc was obie takie białe, w parze,
 Myślałem, że śpiąc o aniołach marzę;
 I drżać zacząłem i zadrżałem wszystek,
 I jeden tylko poruszyłem listek;
 Ten listek inne poruszył listeczki,
 250 I szmer się zrobił — ty wybiegłaś z rzeczki;
 I takeś prędko uciekała złąkła,
 Żeś łonem kwiatu potrafiła pręty;
 I lilijowa wnet łodyga pękła,

- I kwiat z niej upadł twoją piersią ścięty;
 255 A jam rozważać zaczął z twarzą bladą,
 Jak ten kwiat kruchy, jak ty jesteś zwinna.
 I oto dzisiaj, rankiem, pod kaskadą —
 Nie jam był winien — lecz lilija winna.

XIII.

- Płonęła wonna jak kadzidło mirry,
 260 I widać było, że nie wiedząc płonie.
 Głębszemi oczu stały się szafiry,
 I prędsza fala białości na łonie,
 I dziwnym ogniem rozpalone skronie
 Wczesne zwiędnięcie dawały bławatom.
 265 Ona z tych była, co się skarżą matkom,
 I skarżyła się gwiazd cichęj gromadzie;
 Gdy do snu księżyc niepełny się kładzie;
 Gdy kwiaty szepcą miłośnie do ucha,
 Co zamysłone, własnych myśli słucha.

XIV.

- 270 Czy ty gdzieś teraz, o! miła, z rozpaczą,
 Aniołom Boskim mówisz rozżalona?

w. 221—269: Ustępy XI, XII, XIII — to wielka walka człowieka z niezłomnymi prawami przyrody; olbrzymi dramat broniącej się duszy, która czuje, że wszelka walka jest bezcelową. Gama wstających i znikających uczuć tak rozległa, jak rozległa jest granica pomiędzy życiem i śmiercią. Kilku zaledwie barwami i ruchami mistrzowsko oddany smutek i niepokój anielskiej duszy dziewczyny, zostającej pod wpływem magnetyzującego wzrokiem »węża«; duszy, walczącej przeciw nadziei ostatekiem sił świadomości, gdy ciało płonie *jak kadzidło mirry...*, »głębszemi oczu stają się szafiry... I dziwnym ogniem rozpalone skronie«. Równocześnie zaś pożar szalu, obejmujący zwoina mężczyzny, który rozważać począł z *twarzą bladą — jak kwiat ten kruchy...* To już niedający się nawet określić wyraz fenomenalnej pewności »wewnętrznego widzenia«, nadludzkiej zdolności bezpośredniego rewelowania duszy. Nie znamy nic prawdziwszego i nie piękniejszego nad to miejsce.

Jak ci, co mówią skarżąc się — i płaczą,
 Że była burza gromami czerwona,

275 Że była grota posepna i ciemna,
 I grocie z kaskad kryształu zasłona;
 Że była trwoga w ciemności tajemna,
 Razem niepamięć jakaś Boskiej kary;
 I skarga smutna czystych Nimf, podziemna;
 Że nas tam samych dzień odstąpił szary,
 280 I zastał z twarzą ognistą przy twarzy.
 I ptasząt nas tak obudziły gwary.

 Mówisz ty o tém? jak ta, co się skarży?
 O! nie mów ty tak aniołom! niebieska!
 Bo każda twoja brylantowa łezka
 285 Jednemu będzie z tych jasnych pożarem.
 Bo ja, ach, gdybym był także aniołem,
 Z rozpromienioném na błękitach czołem,
 I nieskończoność całą miał obszarem,
 I mógł zarządzać gwiazdami wszystkimi:
 290 Nie chciałbym gwiazdy niebieskimi świecić.
 Lecz tylko rzucić błękity i lecić,
 I taką jak ty mieć moją — na ziemi.

w 292: Ustęp XIV. Cała akcja poematu wogóle, tego zaś ustępu w szczególności, stwierdza najoczywistej, że poecie nie chodziło najzupełniej o romans rzeczywisty, czy nawet urojony, t. j. o powieściową realistyczną fabułę, osnutą tężami wyobraźni; owszem dowodzi, że Słowacki z całym rozmysłem przenosi »akcję« poza świat zjawisk i wypadków »realnych«, w sferę intuitywnie odtwarzanych uczuć. I to jest powodem tej »lilijowej czystości« poematu, mimo że »dzień szary« zastał kochanków z *twarzą ognistą przy twarzy*. I dlatego nie obchodzi nas najzupełniej szczegóły życia, interesują nas tylko stworzone dla siebie dusze mężczyzny i kobiety, reagujące na pokuszenia ciał, w które wplatało je życie. Interesuje nas walka człowieka z prawami przyrody, która jest mocna jak życie i śmierć. Poemat jest nie stylizowanym czy idealizowanym obrazem fenomenów ziemskiego życia, ale »objawieniem pozafenomenalnego, wewnętrznego życia«, odtworzonego przez artystę zapomocą scen czy faktów najbardziej — powiem — typowych, jakgdyby oderwanych od czasu i miejsca. Zapewne:

XV.

Z groty ta piękna wyjść nie śmiała sama.
 Słońca się może bała na lazurze,
 295 Że za promienne będzie i za duże,
 Albo że będzie jako czarna plama.
 Ale na niebie była z tęczy brama,
 Na wypłakaną rozwieszona chmurze.
 Wyszła. — I naprzód ją zdziwiły róże,
 300 Że takie były jak wczoraj różowe.
 Zerwała jedną i podniosła głowę,
 I zadziwiła ją ta tęcza ranna,
 Niebios błękitnych przezroczystość szklanna,
 Krańców księżyca tonący w błękitcie.
 305 Zda się, że nowe ją zdziwiło życie,
 Tak w ciszy czegoś słuchała, tak biegła;
 Aż gdzieś w kryształ jeziora spostrzegła
 Na licu swoim przezroczystsza białość,
 Żywszy ust koral, i większą omdlałość,
 310 I uśmiech pełny tęsknoty, i żalność.
 Więc osłoniła się cała w warkoczu,
 I więcej na mnie nie podniosła oczu.

»akcja« odbywa się pod tęcową kaskadą Aaru, w szalecie, czy w grocie lodowej, ale czy jest chociażby jeden dokładnie sprecyzowany szczegół lokalny? To, co się w poemacie dzieje, ma »charakter metafizyczny«: Słowacki chce przedstawić i przedstawił »absolutną treść« uczucia miłości, owo »wyobrażenie ogromnej miłości«, ujęte w kształt »rewelatorstwem muzyki«.

w. 312: Ustęp XV. Mistrzostwo Słowackiego-psychologa i Słowackiego-artysty zdaje się potęgować z każdym wierszem, jeśli to wogóle możliwe, choćby po ustępie VII czy XI. Niepokój duszy, w której dokonał się tragiczny przełom — pewnej, że go zobaczy w tej samej sile i tragizmie katastrofalnych zmian w przyrodzie, a zdziwionej, że *róże były jak wczoraj różowe* — prawdziwy w każdym szczególe, a wyrażony słowami, które przestają być formą, a stają się same bezpośrednimi ruchami i głosami duszy.

XVI.

Jest chwila, gdy się ma księżyc pokazać,

Kiedy się wszystkie słowiki uciszą,

315 I wszystkie liście bez szelestu wiszą,

I ciszej źródła po murawach dyszą;

Jakby ta gwiazda miała coś nakazać,

I o czém cichém pomówić ze światem,

Z każdym słowikiem, z listeczkiem i z kwiatem.

320 Jest chwila, kiedy ze srebrzystą tęczą

Wychodzi błądy pierścionek Dyanny:

Wszystkie się wtenczas słowiki rozjęczą,

I wszystkie liście na drzewach zabrzęcą,

I wszystkie źródła jęk wydają szklanny;

325 O takiej chwili, ach, dwa serca płaczą,

Jeśli coś mają przebaczyć — przebaczą;

Jeżeli o czém zapomnieć — zapomną.

O takiej chwili z moją panią skromną,

Jużeśmy siedli w naszych progach sielskich,

330 Już rozmawiali o rzeczach anielskich.

XVII.

Jak śpiewający na niebie skowronek,

Z gór słyhać było pustelnika dzwonek.

Rzekła raz: Chodźmy do staruszka celi,

Może rozgrzeszy, może rozweseli,

w. 321: *błądy pierścionek Dyanny* — księżyc.

w. 331: XVI i XVII. Odczuwając sam na sobie olbrzymi wpływ przyrody (zaznaczony choćby na tylu miejscach listów do matki), nie dziwnego, że rolę anioła-koiciela duszy powierzył słowacki przyrodzie, co, będąc w zgodzie z prawdą, staje się nadto cudownym zakończeniem artystycznym sielanki tragedji. Zaczął ją poeta promieniami wschodzącego słońca i miłości, pośród bajecznych uśmiechów przyrody — zakończył zaś chwilą, *gdy się ma księżyc ukazać*, gdy słońce czerwone o zachodzie, wśród białych śniegów i chmur, kiedy na palec jej zimny jak z lodu kładtem pierścionek...

335 Dłonie nam zwiążę i kochać ośmieli.

Tak mówiąc, wbiegła do sosnowej chaty,

Szybko zamknęła wszystkie okienice,

Ażeby na nią nie patrzyły kwiaty;

I ustroiwszy się jak gór dziewice,

340 Wybiegła do mnie — myślałem, że padnę!...

Ani jej oczy kiedy takie ładne,

Ani jej usta takie były świeże.

Motyła miała czarnego na głowie,

Ten alabastrów od smagłości strzeże;

345 I przeświecony od słońca w półowie

Na czoło rzuca skrzydła cieniu duże;

A pod motylem pochowane róże,

Z pod czarnej gazy patrzyły ciekawe,

Napół zamknięte, świeże, jeszcze łzawe;

350 Wiedząc, że zawsze strzegę serca strony,

Złośliwy motyl usiadł przechylony.

Myślałem, że mu to skrzydło połamię...

Siadł i na lewe przechylił się ramię.

I któżby wierzył w przeczucia, co straszą,

355 Gdy wyobraźnia cała szczęściem dumna!

Gdym z góry spójrzał na dolinę naszą,

Szalet się oku wydawał jak trumna,

Małeńki, cichy, kiedym spojrział z góry:

Nasz ogród z wiszeń jak cmentarz ponury;

360 I niespokojne o nas gołębie,

I zadumane o nas w łąkach trzody;

Ziemia smutniejsza, błękitniejsze wody,

Zabite śmierci ćwiekiem okienice;

Wszystko zaczęło mię straszyc i smucić,

365 Jakbyśmy nigdy nie mieli powrócić.

Szedłem posepny i drżący na góry...
 Jeziora czarne, glazy, śniegi, chmury,
 Girlandy z orłów na błękitnym lodzie,
 Słońce czerwone jak krew o zachodzie,
 370 Dom pustelnika śniegiem przysypany,
 I dwa ogromne na straży brytany,
 Krzyżyk na celi, gdzie siadały gile,
 Cela, pustelnik stary, księgi w pyłe —
 Wszystko to dzisiaj już podobne snowi...
 375 Pamiętam tylko, że promień zachodu
 Cały się na twarz rzucał Chrystusowi,
 Kiedy na palec jój zimny jak z lodu
 Kładłem pierścione

XVIII.

Gaje! doliny! łąki i strumienie!
 380 O, nie pytajcie wy mię smutne o nią.
 Są łzy, co mówić na zawsze zabronią.
 A kiedy mówię, wpadam w zamyślenie;
 I widzę jasne, błękitne spojrzenie,
 Co się zaczyna nademną litować,
 385 I widzę usta, co mię chcą całować,
 I drzę — i znów mię ogarną płomienie.
 I nie wiem, gdzie iść? i gdzie oczy schować?
 I gdzie łzy ukryć? i gdzie być samotnym?
 I stoję błądy i kreślę jój rysy;
 390 Lub imię piszę na piasku wilgotnym;
 Lub błędę między róże i cyprysy.

w. 370—373: to poetyckie przetworzenie rzeczywistości, opisanej w liście
 z dnia 21 sierpnia 1834 r.

Jak człowiek, który drogi skarb postrada,
 Zmysły utracił, i płacząc usiada
 Tam, kędy urny na grobowcach siedzą,
 395 Myśląc, że groby o niej co powiedzą.

XIX.

Jest pod mojemu oknami fontanna,
 Co wiecznie jęczy zapłakany szumem;
 Jest jedno drzewo, gdzie harfowym tłumem
 Żyją słowiki; jedna szyba szklanna,
 400 Gdzie co noc błąda zaziera Dyanna,
 I czoło moje smutnym blaskiem mami.
 I tak mię budzą zalanego łzami,
 Te drzewo, księżyc ten, i ta fontanna.
 I wstaję błądy, przez okno wyziéram,
 405 Słuchając różnych płaczów na dolinie.
 Słowiki jęczą i fontanna płynie,
 Mówią mi o niej — ja serce otwieram
 I o śmierć prędką modłę się z rozpaczą,
 I schnę, i więdnę — i ach, nie umieram...
 410 I co dnia budząc mnie, fontanny płaczą.

XX.

Kiedy się myślą w przeszłości zagłębie,
 Nie wiem, jak sobie jój postać malować?
 Czy kiedy przyszła śpiącego całować,
 Jak z rozwartymi skrzydłami gołębie?
 415 Czy wtenczas, kiedy uciekała trwożna?
 Czy gdy na jedną ze mną księgi kartę
 Wbijala oczy błękitne, otwarte,
 Na każde moje spojrzenie ostrożna?

Czy kiedy wiejskim otoczona dworem
 420 Chodziła gdyby zaklęta królowa?
 Czy kiedy cicho uśnie pod jaworem?
 Czy kiedy goni? czy kiedy się chowa
 W księżycu blasku biała — lub wieczorem
 Od Alp na śniegu różowych — różowa?...

XXI.

425 Skąd pierwsze gwiazdy na niebie zaświecą,
 Tam pójdę, aż za ciemnych skał krawędzie.
 Spójrzę w lecące po niebie łabędzie,
 I tam polecę, gdzie one polecą.
 Bo i tu — i tam — za morzem — i wszędzie,
 430 Gdzie tylko poszlę przed sobą myśl biedną,
 Zawsze mi smutno, i wszędzie mi jedno;
 I wszędzie mi źle — i wiem, że źle będzie.
 Więc już nie myślę teraz tylko o tem,
 Gdzie wybrać miejsce na smutek łaskawe,

w. 425: Ustępy XVIII—XXI. Ustępy II—XVII — to przeszłość, jakby naj-
 świetniejsze perły uśmiechów i łez, nanizanych na krótką nitkę
 wspólnego życia kochanków, to bezpośrednie wprost, wtórne
 przeżywanie przeszłości; ustępy zaś ostatnie — to męcząca, ciągła
 świadomość, że przeszłość *zniknęła jak sen jaki złoty... i już nie*
wróci nigdy — o rozpacz!!!, oraz pragnienie odlotu *do tej zba-*
wionej i do tej kochanki.

W ustępie XVIII motyw ten sam, który stanowi treść II
 ustępu (w. 21—34) *Ojca zadżumionych*. Tylko tam — nieszczęśliwy
 Arab drży przed mającym go spotkać pytaniem pomarańczy,
 kwiatów i chmur, tu — jakby błaganie o odrobinę litościowego
 współczucia przyrody, o której poeta wie, że mu będzie matką,
 choć i sama ulega niedającym się uniknąć prawom wieczystym.

Stosunek przyrody do człowieka cierpiącego zgola inny w obu
 poematach. Tu ona płacze z nim razem, jak płacze matka lub
 siostra, świadoma straty i swojej własnej także. Kochanek pra-
 gnęnie oszukać ból samotności, przeto zagłębia się *myślą w prze-*
szłości, ale gdy zgasną błyskawice złudzeń, świadomość pustki
 powraca. »Więc już nie myślę teraz tylko o tem, Gdzie wybrać
 miejsce na smutek łaskawe«, pragnąc z zupełną świadomością
 odlotu za łabędziami, albo cichego odejścia duszy po złotym
 słupie księżycowego światła... Tam, w *Ojcu zadżumionych*, przy-
 roda spokojna jak przeznaczenie, któremu nieszczęśliwy ojciec
 poddaje się bez protestu i bez jakiegokolwiek żądania.

435 Miejsce, gdzie żaden duch nie trąci lotem
 O moje serce rozdarte i krwawe;
 Miejsce, gdzie księżyc przyjdzie aż pod ławę,
 Idąc po fali... zaszeleści złotem,
 I załaskocze tak duszę tajemnie,
 440 Że stęskni — ocknie się i wyjdzie ze mnie.

w. 440: Poemat kończy się tym samym motywem, którym się zaczął.
 Stęskniona za kochanką dusza poety miała chwilę złudnego
 przeżywania szczęścia, które zgasło. A kiedy zgasło raz wtóry,
 nawet jako złudzenie, wróciły żal i tęsknota, wróciło pragnienie
 śmierci. I tem różni się zakończenie *W Szwajcarji* od zakończe-
 nia *Ojca zadżumionych*. Nie zaś dziwnego, bo przecie biegunowo
 różne dusze bohaterów obu poematów, bo inny charakter ba-
 śniowego poematu *W Szwajcarji*, inny prawdziwego, ponurego
 poematu pustyni.

WACŁAW

Są przedmioty, którychby się pióro poety tknąć
nie powinno; takim zapewne jest śmierć Wacława,
którego nam Antoni Malczewski tak cudownymi ko-
lorami w poemacie *Marja* odmalował. Jakiś jednak
5 mimowolny pociąg, chciałbym go nazwać natchnie-
niem, zmusił mnie do napisania następnego poematu;
a od prawdziwych nie odstępując podań, starałem
się ile możliwości zidealizować rzecz pełną czar-
nych mętów i okropności. Może kilka strof spowie-
10 dzi Wacława wyjednają mi u czytelnika nieco po-
błażającego sądu dla reszty i ogólnego układu pisma,
którego już ani poprawić ani przemienić nie jestem
zdolny; a dwa poprzedzające poemata przybiegną
w pomoc broniącemu się od zupełnego potępienia
15 poecie.

I.

Witaj mi, ziemio stepów gładka, cicha,
Gdzie kwiat dla Boga kwitnie i usycha;
Gdzie dwa kurhany na błękitnym niebie
Przez całe stepy patrzą się na siebie;
5 Gdzie przerywają trupy sen grobowy,
Orłami z sobą prowadząc rozmowy;
Lub gdy je przyjaźń w mogiłach nie zbliża,
To krzyż się groźnie pogląda na krzyża,
I oba drewna niby grożą sobie
10 Przez całe stepy, zemstą śpiącą w grobie.
Krzyżowe groźby, i poselstwa płaków
Lecą przez krwawe doliny bodjaków;
I czuć w powietrzu że tu myśli wojna,
Choć słońce złote, choć ziemia spokojna.
15 Bo choć się skończą rycerstwa i waśnie,
To ziemia mogił tak prędko nie zaśnie;
Ale w jej sercu wolność się odzywa,
Kiedy się orzeł gdzie z mogiły zrywa,

w. 1: przypomina początek *Zofjówki* Trembeckiego:
Miła oku, a liczny rozżywiona płodem,

Witaj kraino, mlekiem płynąca i miodem,

w. 3: *kurhany* — nasypy na stepach Ukrainy i Rosji południowej. M. Grabowski był tego zdania, że kurhany były sypane z jednej strony dla uczczenia zmarłych, z drugiej zaś mogły służyć w stepach za drogowskazy i jako stanowiska wojenne.

w. 12: *bodjak* — oset.

w. 13: Por. *Marji* pieśń I ust. VIII: »I głucho — tylko jakaś w powietrzu rozterka«.

Kiedy zatętni jaki wichur głuchy,
 20 Gdy zaszeleszczą powojów łańcuchy;
 Albo gdy śmignie jaki złoty sumak,
 Myśli, że biały Puławskiego rumak;
 Albo gdy kosa o kamień zadzwoni,
 Myśli, że Sawa jedzie w tysiąc koni;
 25 Ale już w grobach są ci sławo-kraśni.
 Ziemi kurhanów, nie marz o nich — zaśnij!

II.

Znasz ty tęczowe Rusalek upiory?
 Czy znasz prorocką dumę Wernyhory?
 Czy wiesz, co będzie w jarze Janczarychy,
 30 Gdzie teraz gołąb, lub jelonek cichy,
 Ze łzą przeczystą w szafirowém oku,
 Gdzieś w księżycowym się przegląda stoku?
 Czy wiesz, że wszystkie te się sprawdzą śnicia
 W jednej godzinie rycerskiego życia?
 35 Że zemścisz syna, ojca, matkę, brata,
 W tej błyskawicy, co na szabli lata.
 Niech tylko serce rycerza, o Chryste!
 Jako lilija będzie we krwi czyste,

w. 22: *Pułaski* Kazimierz, znany konfederat barski, syn Józefa, starosty wareckiego, twórcy konfederacji.

w. 24: *Sawa*-Caliński (taki miał przydomek w konfederacji), kozak sympatyzujący z Polską, walczył po stronie polskiej pod Radomiem i Lublinem, a następnie uwił się pod Płockiem. Ranny pod Szeńskiem, zmarł na miejscu zwanem później grobem Sawy.

w. 27: *Rusalki* — są to boginki-widma z czasów przedchrześcijańskich.

w. 28: *Wernyhora*, kozak zaporoski, z wsi Dmytrówki za Dnieprem. Obdarzony darem proroczym, przepowiedział *koliszczynę* i zjazd w Kaniowie. Uciekając przed niewdzięcznością włóscian wioski Makiedonówki w Kijowszczyźnie, gdzie osiadł, schronił się na wyspę rzeki Rosi, dokąd udał się Suchodolski (właściciel starostwa korsuńskiego) i spisał to, co mu opowiedział Wernyhora. Przepowiadał on wielką bitwę zwycięską w jarze Janczarychy koło Kaniowa.

Niech tylko wprzód nie splami zgryzota
 40 Duszy, co jako ptak się w siódlach miota;
 Niechaj się tylko każdy dumnie waży
 Złotym aniołem, w ojczyźnie na straży:
 To chyba wkońcu, na takich Aniołów,
 Wróg będzie piorun miał w ręku — nie ołów.

III.

45 Jeśli pod tobą wolny koń stepowy,
 Omijaj zamek ten i te parowy;
 Niech cię nie bawi ten na zamku czole
 Napis, co błyska od słońca na pole:
 Bo to jest kłamstwo marmurów ohydne,

w. 1—44 (ustęp I—II): spełniają do pewnego stopnia w stosunku do całości tę rolę, jaką w *Marji* Malczewskiego spełniają trzy pierwsze ustępy. Jest jednak wielka różnica. Pełna harmonii melancholija autora *Marji* odczuwa i oddaje muzycznie ogromny smutek stepów, na których »Tylko wiatr szumi smutnie, uginając kłosa; Tylko z mogił westchnienia...«. Słowacki wywołuje wprawdzie słoneczne echa przeszłości, »które duch dawnej Polski potomności chowa«, i zapowiada, »że wszystkie te się sprawdzą śnicia« (II, 33), ale zajmują go przedewszystkiem i wyłącznie »krzyżowe groźby i poselstwa ptaków«. Owszem, poeta ucisza wprost głosy rycerskiej przeszłości: »Ziemi kurhanów, nie marz o nich — zaśnij!« W słonecznej »błyskawicy, co na szabli lata«, przyszłość potrafi zemścić »syna, ojca, matkę, brata«. »Niech tylko serce rycerza, o Chryste! Jako lilija będzie we krwi czyste!« Ale to później, kiedyś... Smutek Malczewskiego z powodu »rozległego milczenia obszernych pól« przepaja cały poemat, mimo że pozornie treścią *Marji* jest wyłącznie indywidualna tragedia dwu rodów; u Słowackiego — przeszłość skończyła już swoją rolę...

Człowiek i przyroda w poemacie Malczewskiego, to naprawdę »jedna (czasem »dzika«) dusza«; tu nie mają ze sobą prawie nic wspólnego. Dwa pierwsze ustępy nie mają nadto żadnego, bezpośredniego ni pośredniego związku z Wacławem i duszą bohaterów poematu, są tylko jakby przeciwstawieniem »zdrowia« i szczerości stepów — kłamstwu i zgniliznie zamku Wacława.

w. 45—72: Ustępy III i IV dają nam obraz zamku. Ustęp III maluje jego wspaniałą strukturę zewnętrzną na tle czarownej, »zdradzieckiej natury obłudy;« ustęp IV — ocenę plugawego i zbrodnicy jego wnętrza. Sąd o zamku narzuca nam sam poeta bezpośredniemi zwrotami do czytelnika czy słuchacza (w. 46, 52, 63), stopniując określenia jego zbrodnicości (w. 54, 55, 56, 65—72). Charakterystyczne: naturę psuje i plugawi człowiek (w. 64).

w. 49: *Bo to jest kłamstwo marmurów ohydne* — Ohydne kłamstwem nazywa poeta napis na pałacu Potockich w Tulczynie: »By zawsze wolnych i szlachetnych był mieszkaniem,

- 50 Złotem pisane i zdaleka widne.
 Uciekaj stepem przez burzanu fale,
 Nie wierz napisom, nie zazieraj w sale,
 Bo tam owionie i męstwo ci zetrze
 Gorsze niż w grobach — zdradziectwa powietrze!
 55 Gorsze niż dżuma, co zabija ciało!
 Gorsze! — Choć pałac ten wygląda biało,
 Choć za nim widać lipy starożytnie,
 Białe kościołki, jeziora błękitne;
 Chociaż łabędzie śpią na tych jeziorach;
 60 Choć róże stoją w jutrzeńki kolorach;
 Chociaż słowiki mieszkają w topolach,
 A dalej błękit i kłosa na polach:
 Nie wierz zdradzieckiej natury obłudzie,
 Ten zamek pełny — w tym zamku są ludzie!

IV.

- 65 Od czasu jeszcze dawnych Pelopidów,
 Od wygaśnięcia rodziny Atrydów,
 Nigdzie krwi tyle na gmachu kamieniach,
 Nigdzie plam tyle od zbrodni w sumnieniach,
 Nigdzie rodziny tak czarnej nie było,

w. 51: *burzany* — Tak nazywają pospolicie na Pobereżu i Ukrainie wielkie kępy ziela, które na stepach tworzą — gdy zakwitną — jakby kolorowe wyspy. Mickiewicz nazywa je »koralowemi ostrowami« (*Sonetu krymskie*).

w. 65—6: *Pelopidowie i Atrydzi*. Legendowy ród Pelopidów — z dwoma głównymi braćmi: Atreusem i Tyestesem. Spory ich i właśnie opowiada dopiero *Odyseja*. Późniejsi poeci zastanawiają się nad powodami tych wasni, podając jako powód współzawodnictwo o tron. Atreusz, udając pojeźdźcę, zaprosił Tyestesesa na ucztę i podał mu na stół ugotowane członki jego własnych dzieci. Po uczcie wyjawiał bratu swój okropny czyn, od którego, powiadają, samo słońce odwróciło wzrok. Tyestes poprzysiągł zemstę, ale sam jej dokonać nie mógł, przeto przekazał ją synowi, Egistowi. Atreusz, jako król Myken i Argos, pozostawił dwóch synów, powszechnie Atrydami zwanych, t. j. Agamemnona i Menelausa. Agamemnona zamordowała żona Klitemnestra, syn zaś Orestes pomścił śmierć ojca zabójstwem matki.

- 70 Tak czarnych prochów pod żadną mogiłą...
 Chciałbym powiedzieć — W imię Ojca, Ducha!
 Kto tak okropnej powieści wysłucha?

V.

- Choć w zamku gości częstują wspaniale,
 Gospodarz dawno nie schodzi na sale.
 75 Niegdyś widziano go w gromadnym kole:
 Jak trup wśród ludzi, jak upiór przy stole.
 Zimne po sercach przechodziło mrowie,
 Kiedy co mówił, gdy pił jakie zdrowie;
 A gdy wziął kielich w rękę trupią, siną,
 80 W kielichu krew się zdawała, nie wino.
 Każdy, co z gości do stołu zasiadał,
 Nie znał go prawie, nigdy z nim nie gadał;
 Gdy wszedł — nie wstawał nikt przed tym człowiekiem,
 Choć orderami był srebrny i wiekiem;
 85 Ani posłane z poselstwem od matki
 Kiedy go w rękę całowały dziatki;
 Jakby przed marą piekielną, szkaradną,
 Stają przed ojcem zaleknione; bladą,
 I uciekają, nie wyrzekłszy słowa,
 90 Lub kamienieją. Nie twarz to surowa —
 Bo miłą miał twarz ten człowiek z natury;
 Ani wzrok jego dziki i ponury —
 Bo na swe dziatki patrząc, lży miał w oku;
 Lecz przerażenie z Boskiego wyroku
 95 Wisiało nad nim, jako krwawa tęcza;
 A gorzej — wiedział to sam, że odstęcza;
 Że coś pomiędzy nim a światem stoi,
 Czego się sługa, dziecko, słońce boi.

Wień już oddawna zaniechał z rozpaczą
 100 Przepraszać serca, które nie przebaczą;
 Ujmować dusze, co chcą nienawidzić;
 A nie mógł niemi pogardzać i szydzić.
 Nawet choć wiedział, że tłumną hołotę
 Rzucał się sprośny lud na jego złoto:
 105 Tak wielką znalazł pokorę w swęj winie,
 Że nie pogardził i otworzył skrzynie;
 A wtenczas sercu jego biczem jędy
 Był brzęk liczonych po zamku pieniędzy.

VI.

Nareszcie uciekł od ludzi i słońca.
 110 A przy nim tylko jak anioł obrońca
 Małeńki, blady i nierozkwitniony
 Był smutny synek jego pierwszej żony.
 To jedno dziecko przy nim czuwa, tleje,
 Jako różyczka przy cedrze wędnieje.
 115 On duszę ojca, gdy w rozpacz upada,
 Szafirowemi oczkami spowiada;
 I patrz! że czarny nędzarz nie unika
 Tak błękitnego grzechów spowiednika,
 Ale mu z oczek cały błękit świeży
 120 Pije oczyma, i wzdycha, i wierzy
 W ostatnią pomoc — w moc dziecka pacierzy.
 Kiedyś zawczesnym zagrożoną zgonem
 Dziecinę swoją nazwał Eoljonem;
 Bo myślał, że ten kwiatek biały, kruchy,
 125 Wezmą ze złotęj kołysieczki duchy
 I w nieśmiertelne zaniosą ogniska:

w. 112: O synu takim nie wiadomo. Gdyby zresztą istniał, nie mógłby w chwili śmierci Wacława być *małeńkim* i *nierozkwitnionym*.

A więc mu nie dał ludzkiego nazwiska,
 Ale powietrzne, duszy, nie popiołom
 Imię, łatwiejsze wymówić aniółom.
 130 Te dziecko jemu zostało przy boku
 Ze łzą w zrenicy, z promionkami w oku;
 Te czuwa przy nim. Lecz z wyroków Pana
 Dusza w dziecięciu bladém obłąkana,
 Smutna, i z ciałkiem niedołężném zwadna,
 135 A w obłąkaniach jak aniółek ładna;
 Gdy się uśmiecha — zda się, że do nieba;
 Płacze — to myślisz, że mu tak potrzeba
 Nad jaką dawną pamiątką, lub szkodą,
 Jak zapłakanęj wierzbie stać nad wodą.
 140 Tylko że ojcu, gdy mu dziecko zbładło,
 W chorobie dziecka jest zgryzot zwierciadło;
 Tylko że nieraz jakaś moc grobowa
 Przekleństwo ojca kładnie w dziecka słowa;
 Lub w obłąkane czynności dziecięce
 145 Jakies piekielne mięszają się ręce,
 I straszne rzeczy czynią dziecka mocą —
 I dziś — gdy Wacław zasnął — przed północą...

w. 128—129: *powietrzne imię* — Eoljona imię zapewne utworzył poeta od boga wiatrów, Eola.

w. 73—147: Z ustępem V wprowadza nas poeta do zamku, który kipi biesiadną uciechą. Celem jednak poety jest nie obraz życia zamku, ale charakterystyka Wacława ze względu na przeszłość (ustęp V) i teraźniejszość (ustęp VI). W przeciwieństwie do Malczewskiego, który, przenosząc akcję do zamku, każe wojewodzie wziąć udział w biesiadzie, Słowacki odsuwa Wacława od ludzi, podając powody, dlaczego wszyscy stronią od niego. Dawniej, może niezbyt jeszcze dawno, zjawiał się nieraz w kole biesiadników, zjawiał się jednak jak *trup* i jak *upiór*, od którego szło na serca *zimne mrowie*. Nikt go nie znał, nikt z nim nie rozmawiał, uciekały od niego nawet dzieci, widząc oczyma duszy wiszącą nad nim jakąś *krwawą tęczę przeżenienia*, którą w końcu uświadomił sobie sam Wacław. Nie mogąc uniażać się przed nikim prośbami o litość, ani *pogardzać i szydzić*..., *nareszcie uciekł od ludzi i słońca* (w. 109). Wiersze 99—102, doskonale związane z psychologią Wacława, są

VII.

Lecz gdzież jest młoda małżonka? Grafini?

Czemu nie przy nim? Dawnień niewolnica,

150 Dziś samowładna w zamku monarchini;

Z kimże to błądzi po świetle księżycy?

Z kimże to słucha śpiewania słowików?

Dla kogoż rzuca ucztę, stołowników,

Dzieci i męża bezsenne wężgłowie?

155 A jednak, mówią, dba o grafa zdrowie,

niemal powtórzeniem tych wierszy, w które poeta zamyka jeden rys duszy Lambra: »Chroń się ty świata, — bo on nie był z nami W szczęścia godzinie, więc i dziś nie będzie; Bo przeciw wielkim zuciom on gniewliwy I nie przebacza tym, co toną w błędzie« (ust. IX). A, jak wiadomo, mówi to przez Lambra Słowacki sam o sobie.

Wacław zamyka się z jednym tylko towarzyszem, a *był* — to — smutny synek jego pierwszej żony — Eoljon. Imię to dał ojciec jego »duszy«, która była z ciałkiem niedotężnem zwadna. Pomysł Eoljona nieoryginalny; już dawno zobaczono w nim odbicie Orcia z *Niebieskiej komedji* Krasińskiego; jak zawsze jednak było z poematami obcymi, przetworzony przynajmniej formalnie, bardziej eteryczny, »powietrzny«, bardziej poetyczny i subtelniejszy w rysunku. Czyż może być bowiem rysunek bardziej delikatny, niż ten, który daje poeta w w. 850—862?

Jaka jest jednak rola Eoljona? Poeta powiada (w. 115—116), że Eoljon ratuje ojca w rozpacz; że ojciec wierzy w moc dziecka *pacierzy*, a gdy się *twarz Grafa mroczy, Dwie białe róże kładł ojcu na oczy, Lub w obłokaniu (o! jasne i wdzięczne Dziecka przystugi!) promienie miesieczne Od ojca wzroku brał na swoje łica I tak zesmutniał cały od księżycy* (w. 472—477); a jednak *jakiś piekielnie mieżąją się ręce I straszne rzeczy czynią dziecka mocą* (w. 145—146). Właściwie jednak nic on nie zmienia w losach Wacława, przynajmniej my o tem nic nie wiemy. Był chyba jedyną istotą, która go nie unikała i miała nad nim litość na ziemi, jak poza światem okazywali mu ją jedynie: pierwsza żona Marja i ojciec *krwawy*, których poeta wprowadza jako dwa cienie w chwili, gdy gasnące już niemal oczy Wacława dostrzegać mogą rzeczy pozaziemskie. Jest on jednak zarazem *zgrzyot zwierciadłem dla ojca*, bo przypomina mu przeszłość, gdy się *darł do słońca*, bo widział w nim *swoje sny młodości złote, Zachwyty, miłość, niepokój, tęsknotę*, która w dziecku stała się jakąś ogromną, nieukojoną tęsknotą i jakąś bolesną miłością, nie mogącą się o nic zaczepić. Widział w nim ojciec małeńkie ptaszę z polamanymi skrzydłami, w którego duszy tkwiła jak ostry cierni nieuświadomiona pamięć dawnych, przedziemskich lotów. Nieme były wargi i bezsilne skrzydła, które ożywiła dopiero i podniosła śmierć, iżby ta dusza odleciała tam, skąd przyszła. Jego jednego i przez niego jednego kochać mógł jeszcze ojciec życie, które było dlań męką nad męką.

w. 149:

Dawnień niewolnica — głośna Greczynka, żona Szczęsnego Potockiego, została istotnie kupiona jako niewolnica w Stambule przez hrabię de Witt, komendanta Kamieńca, który ją poślubił a potem »odprzedał« Szczęsnemu.

Sama przyprawia mu z lekarstwem czary.

Nieraz przy łożu jak ulotne mary

Staje powiewna z lampą w rękę, błada

Słuchać, co śpiący o niej we śnie gada.

160 A mówią ludzie, że nieraz jej ręka

Słucha, czy serce się w chorym nie pęka;

Bo takie drgania mu piersi podnoszą,

Takie go zimne, straszne poty rosą,

Gdy śpi, a patrzy na śpiącego żona,

165 Jakby go anioł śmierci brał w ramiona.

Lecz dzisiaj z kimże na wieczornym chłodzie

Chodzi ta pani po mglistym ogrodzie?

Jeśli zbrodnicza miłość w sercu bije,

Ona się z taką miłością nie kryje,

170 Ale otwarcie, z bezwstydem na czole,

Kochanka sadza u boku przy stole:

Bo ten kochanek nie wybrany w tłumie,

Zwykle pochlebia jej skażonej dumie;

To jaki książę, to króla powierny:

175 Pies nań nie szczeka, przepuszcza odźwierny,

Wszyscy go nawet witają ukłonem;

Zamek jest jego łożem; domem, tronem

Włada; gdzie indziej podobny do węża,

Tu zdrajca panem jest żony i męża:

180 Więc to nie z gachem Dyanna grafini

Tajemne schadzki ma w ciemnej jaskini,

W grocie, co gładkim wyłożona brusem,

Szklannej kaskady zamknięta obrusem;

Szarfa ta wody lecąca z wysoka

185 Nie puści w grotę śledzącego oka,

w. 182—189: Obraz grotty pod kaskadą, jako jednego z »cudów« Zofjówki, daje w swym poemacie Trembecki.

- Ani księżyc — lecz przez nią przeleci
 Czarna jaskółka, co w grocie ma dzieci,
 Ta jedna kryształ skrzydłami rozcina;
 Na wszystko miłość waży się małczyzna.
 190 Lecz noc — jaskółki śpią w gniazdach ukryte,
 Lecz ciemność trwożną okryła kobietę;
 Chociaż nie sama, drży jak liść osiny,
 Kiedy się w gniazdach poruszają ptaszyny;
 Gdy woda głośniejszy w kaskadzie zakrzyczy.
 195 A ten powiernik kto? duch tajemniczy?
 Szata go długa w ciemności obielea,
 Na głowie wianek stepowego ziela;
 Na głowie, siwem porośniętej runem,
 Wiąże się burzan czerwony z piołunem.
 200 A przed nim kocioł, czary i amfory...
 Ku jakiej sprawie? ku czemu przybory?
 Czy klątwy rzucać, czy palić ofiary?
 Czy zabić kogo piekielnymi czary?
 Z jakim to widmem skandynawskiej Frei
 205 Grafini dzieło zaczyna Medeji?

VIII.

Zaledwo pani wargę koralową
 Piérwsze i drżące otworzyło słowo,
 O! nieba! leci jasnych światel krocie
 Z pałacu, ciemną aleją ku grocie.

- w. 204: *Freja* — bóstwo skandynawskie, właściwie bogini miłości, którą wyobrażano jako jadącą na wozie, zaprzężonym kotami.
 w. 205: *Medea*, córka króla Kolchidy, słynęła z znajomości roślin i stąd uchodziła za czarodziejkę. Dopomógłszy Jazonowi zdobyć złote runo, poślubiła go i udała się z nim do Grecji. Gdy jednak Jazon przeniósł nad nią Kreuzę, Medea czarami zgubiła swoją rywalkę i zabiła spłodzone z Jazonem dzieci. Później dramatycy brali ją niejednokrotnie za bohaterkę swych utworów, np. Eurypides, Seneka, Corneille, Grillparzer.

- 210 I rozsypują się po drzew łańcuchu;
 W ogrodzie pełno krzyku, blasku, ruchu.
 Na cichój wodzie łabędź się poruszył,
 Strzepotał, wody zwierciadlane skruszył,
 Zapienił cały krąg, zbudzony nagle,
 215 Otworzył wszystkie puchy, pióra, żagle,
 I znów spokojny spogląda wspaniale
 Na rozchodzące się kręgami fale.
 Tak silne serce posepnie się rzuci,
 Kiedy go ze snu jaki grom ocuci,
 220 Porwie się nagle, tłum spokojny zmiesza;
 I widzi, jak się przerażona rzesza
 Cofa, jak kręgi blademi ucieka
 Od rażonego nieszczęściem człowieka;
 To wtenczas duma na pomoc przybędzie,
 225 To wtenczas skrzydła się duszy łabędzie
 Całe rozwiną przeciw wichrom losu,
 To wtenczas serce jak z twardego ciosu;
 I tém się nawet chęłpi boleść sroga,
 Że miała świadkiem walki — tylko Boga.
 230 I tém się cieszy serce, choćby pękło,
 Że zamiast podłych zlitować — przelekło.

IX.

Ludzie po drzewach szukający wszędzie,
 Budzą słowiki i płoszą łabędzie.

- w. 218: *Tak silne serce posepnie się rzuci...* przypomina wiersz z *Marji*:
 »Może w kłopotcie i silna głowa, Posepnie kiedy się rzuci«...
 w. 231: *podłych zlitować...* — pobudzić do litości.
 w. 212—231: Cudowny obraz zbudzonego nagle łabędzia i porównanie go z »silnem sercem«, kiedy go (1) ze snu jaki grom ocuci, a potem dygresja o duszy samotnego człowieka, którego duma i ból tém się nawet chęłpi... *Że miała świadkiem walki — tylko Boga*. Niewątpliwie myślał w tej chwili Słowacki i o sobie także.
 Bibl. Nar. Nr. 49 (Słowacki: Trzy poemata)

Już słyhać szmery, już wrzawa szalona,
 235 Że graf otruty, że cierpi, że kona.
 Wreszcie okropna wieść do groty wpadła:
 Powiernik zaśmiał się — a pani zbładła,
 I znów skościli oboje na długo.
 Lecz ktoby wtenczas ją widział z tym sługą,
 240 Ktoby ją widział, kiedy przez kaskadę
 Blaski księżycy ją oblały blade,
 Ktoby w jej usta już nie koralowe,
 Ale poblądle, otwarte, surowe
 Spójrzył i słuchał, gdy tak stała cicha,
 245 Jak przez te usta serce w niej oddycha;
 Ktoby usłyszał, z jakim dzikim wrzaskiem
 Wybiegła z ludźmi się spotkać i z blaskiem,
 I z obwinieniem, co na każdej twarzy
 Przy migającej się pochodni żarzy;
 250 Ktoby w téj chwili, nie zalane łezką,
 Ale pięknnością jasne nadniebieską
 Widział jej oczy, gdy je w gwiazdach trzyma,
 Albo o męża pyta się oczyma:
 Tenby ją całkiem miał nie potępioną.
 255 Zepsuta była, niewierna — lecz żoną.

w. 148—255: Ustępy VII—IX wprowadzają Grafinię i jej kochanka, który panem jest żony i męża. Rola jej (porównaj *Wstęp*) zupełnie niewyraźna, a to, co robi, spełnia jako bezwolne narzędzie Greka. Podejrzewa ją Wacław i podejrzewa tłum o otrucie; Wacław nadto wyznaje księdzu, że ona zrobiła, iż śmierć kraju zniosłem, że struła w nim najszlachetniejsze budzące się uczucia obywatelskie: poeta wreszcie podnieca ciekawość pytaniem: *Z jakim to widmem skandynawskiej Frei Grafini dzieło zaczyna Medei* (VII, w. 204—205), każąc jej ostatecznie w najciemniejszej sali chować brylanty i papiery palić (XVI, w. 442—443).

Czem ona jest właściwie, odgadnąć trudno. Czy ma być uosobieniem żarnej, palącej chuci, przepalającej stal godności człowieka, lub usypiającą wolę — aksamitną pieśczęcią delikatnych kwiatów miłości; czy aniołem-mścicielem zbrodni i grzechów Wacława przeciw narodowi? Nie! Karze go przecie kto inny: ów jakiś duch z burzanu, owa wiedźma, która trumnę możnego pana w Ukrainie żegna przekleństwem: *Idź w ogień piekła za narodu*

X.

Jedne tam okno na zamkowej sali
 Od czerwonego księżycy się pali.
 To właśnie okno grafowskiej komnaty,
 Jak anioł blaskiem czerwonym skrzydlaty
 260 Stoi na zamku, patrzy na katusze,
 I czeka, by wziąć z tego ciała duszę.
 U bramy zamku tłum poblądły czeka.
 Na drodze widać konnego człowieka,
 Jak czarny szatan z płomykiem na głowie,
 265 Otwierać bramy, nim się człek opowie!
 Bo to nie djabeł, ani żadna jędba,
 To kozak pański konno wiezie księdza.
 Będziesz pamiętał ty, księże Prokopie,
 Jak się kozaczy koń przez jary kopie,
 270 Jak parska ogniem, jak daje szczupaka,
 Choć ma na sobie księdza i kozaka.
 Héj! héj! skrzypiąca brama się odmyka,
 Kozak na koniu przywiozł spowiednika;

zdradę Z trupem, co mojem wykarmiony mlekiem (XXXVI, 973—974), będąca narzędziem trupa Wernyhory, który, jak mówią *Przy-szedł się pomścić za Lachów ojczyznę I z grobu przyniósł dla pani truciznę* (X, 282—283).

Osobista rola Grafini — żadna, jest bowiem bezwolnem narzędziem tylko.

Tajemniczość, jaka otacza całą akcję poematu wogóle, a Grafinię w szczególności, to owa tajemniczość, właściwa Byronowi i Malczewskiemu, spotęgowana tylko, a raczej spleciona w tak niezdecydowany sposób, że się rozwikłać ani odgadnąć nie da. Cudownie logiczną sztuką autora *Marji* wyrodziła się u Słowackiego w drażniącą, dawne poematy przypominającą sztuczność.

Jestem tego zdania, że wprowadzenie Grafini do poematu było jednym z środków, ułatwiających poecie nakreślenie psychologicznego obrazu Wacława. Jakies straszliwe duchy spełniają swoje niesamowite dzieło, a spełniają je przez nią.

w. 267: Wacław kazał zawołać księdza. Przywozi go sposobem sobie właściwym kozak, którego Słowacki szkicuje tylko, pokazując jego gwałtowność i śmigiły lot jego konia. Duszy kozaka, tak nadzwyczajnie odtworzonej przez Malczewskiego, — nie czujemy zupełnie.

Przeskoczył djaków i bab bladych wianek,
 275 Wziął go za kaptur i rzucił na ganek.
 Sam idzie w tłumy, gdzie ponure gwary,
 Że ktoś na pana rzucił śmiertne czary.
 Kto? wszystkie oczy idą ku téj stronie,
 Gdzie u grafini w oknie lampa płonie.
 280 Wczoraj — widziano ją w grocie z wieczora
 Nie samą — mówią, że trup Wernyhora
 Przyszedł się pomścić za Lachów ojczyznę,
 I z grobu przyniósł dla pani truciznę.

XI.

Próżno ksiądz czeka u grafa podwoi,
 285 Zamknął się Wacław i ludzi się boi,
 I z małym synkiem sam na sam się pieści.
 Widziano pierwsze trucizny boleści;
 Sam mówił ludziom, że otruty kona;
 Potém służalców wygnał; nawet żona
 290 Wejść się nie waży, gdzie spoczywa chory,
 Bo sam ode drzwi zasunął zapory;
 A bramę chyba wyłamać wypada,
 Jak umrze. — U drzwi słuchają — Graf gada.
 Czasem się jakiś głossek serafina
 295 Niebieską skargą ojcu przypomina;

w. 284: Od ustępu XI zaczyna się bardzo subtelna i szczegółowa charakterystyka Wacława. Opowiada poeta, raz jeden pokazując go w pewnym nieświadomym ruchu, ażeby ostatecznie z ustępem XXIII kazał mu analizować siebie samego. — Wacław ode drzwi zasunął zapory i nikogo do siebie nie puszcza. Z małym synkiem sam na sam się pieści, a tłum, który pod drzwiami czeka śmierci Grafa, słyszy ich cichą rozmowę, a mówią, że więcej tam głosów niż dwoje. Co to jednak ma znaczyć? Czy chce ostatecznie chwile Eoljona na świecie — przebyć z nim sam na sam? Czy duchy zjawiły się same, czy przywołał je Wacław? — Pytania muszą pozostać bez odpowiedzi.

Czasem dwa tylko ciężkie odetchnienia,
 Jakieś żałośnie szmery i westchnienia;
 I służebników tłum się niecierpliwi,
 Bo słońce weszło — oni jeszcze żywi.
 300 I dzień na strasznem zszedł oczekiwaniu,
 Na skargach ojca, na dziecka płakaniu;
 I księżyc weszedł, a ci dwaj straszliwi
 W tajemniczości nocnej jeszcze żywi.
 Śmierć ich mównemi uczyniła smutnie,
 305 Ich głos w zamknięciu, jak dwie zgodne lutnie.
 Ci, co słuchali przez grube podwoje,
 Mówią, że więcej tam głosów niż dwoje.

XII.

Oddawna wieści są i poszept głuchy,
 Że z grafem jakieś są po nocach duchy.
 310 Raz go widziano, jak przez zamku cienie
 Wodził za sobą dwa ciche płomienie,
 Skrwawe, czerwone, piekielne straszdyła,
 Mające oczy i włosy i skrzydła.
 Ścigany przez nie, wybiegał z komnaty
 315 Tylnymi drzwiami, na ogród, na kwiaty;
 I raz go z wody wydobyła zgraja;
 Było to, mówią, w dzień trzeciego Maja.
 Widziano, jak biegł przez łąkę w zawody,
 Ognie go, mówią, zagnały do wody.
 320 Widziano, jak się topił cały błąd:
 Skądże ta rozpacz? i te ognio-ślady?
 Gdy ziemia w nowe kwiaty się ustraja,
 Gdy wszystko ciche w dzień wiosniany maja
 A już to od lat wielu takie rzeczy;

325 Nikt nie przysięgnie, i nikt nie zaprzeczy,
 Wszyscy się boją wierzyć w takie dziwo.
 W młodości, słyhać, zgrzeszył bardzo krzywo,
 Dlatego piorun za nim się pomyka,
 Owiewa skrami, straszy, lecz nie tyka,
 33 Tylko grobowym okraży zapachem,
 Aby go zabić krwią, albo przestachem.
 A mówiąc o tém, ludzie z twarzą bladą
 Dodają: człowiek ten przewinił zdradą,
 I sam się dzisiaj chce karać za zbrodnie,
 335 Sam przyzwał piekiel czerwone pochodnie;
 A kiedy przyjdą i nad łożem staną,
 On się nakrywa chustą, krwią zbryzganą;
 W téj chuście niegdyś mu kozacka spisa
 Podala w nocy sąd na infamisa,
 340 Gdy kraj zdradzony już był i rozdarty.
 Ta chusta i te pergaminu karty
 Leżą przy łożu koło pugińału —
 Niech Bóg go broni w rozpaczy od szalu!
 Biada! o! biada, gdy przy łożu siedzie
 345 Śmierci przyczyna i śmierci narzędzie.
 To dość dla serca, co się samo dręczy —
 Widm nie potrzeba — sumnienie wyręczy.
 A rzecz straszniejsza! sumnienie Wacława
 Nabyło nawet nad uśpionym prawa;
 350 On w nocy wstaje i z otwartém okiem
 Po zamku chodzi niesłyszczanym krokiem;
 Czasem pochodnią sobie świeci nocną;
 Oczy otwarte, wyiskrzzone mocno;

w. 339: *infamis* (wyr. łac.), człowiek pozbawiony czci. Szczesny istotnie za powstania kościuszkowskiego skazany został na śmierć za zdradę Rzeczypospolitej.

355 Lecz jakby co się roilo w zrennicy,
 Ani w nich mgnienia, ani błyskawicy,
 Ani się światła bliskiego przelekna:
 A gdy się wpatrzą w co — zda się, że pękna.

XIII.

Znałem ja Grafa Wacława za młodu —
 Dumny z piękności, z wysokiego rodu;
 360 Drzewo, co późnej mogło czekać zimy —
 On tak wyglądał jak rycerz Solimy
 Piękny i straszny, kiedy go koń kary
 Niosł do kochanki przez burzanów jary,
 Kiedy na jakie powietrzne wołanie
 365 Stawał obejrzyć się gdzie na kurhanie;
 Myślałbyś wtenczas, że to anioł stepu,
 Pod błękitami niebieskiego sklepu
 Stoi i czeka, aż wichher poruszy
 Na jaką walkę skrzydła jego duszy.
 370 Coż się z nim stało? czy to moich powiek
 Mara? — gdzie tamten anioł, rycerz, człowiek?

w. 308—357: Ustęp XII. Poeta mówi wprawdzie: *I sam się dzisiaj chce karać za zbrodnie, Sam przyzwał piekiel czerwone pochodnie*, ale te słowa nie tłumaczą zupełnie niezrozumiałej rozmowy w ustępie XI. Ustęp XII cały jest tylko dowodem, że Wacław zostaje pod bezpośrednią władzą duchów, które karzą go, w pewne zwłaszcza dni, jak w dzień trzeciego maja, za jego narodowe zbrodnie. Kara straszliwa, nie zabijająca od razu, ale powoli, z jakimś niezwykłym wyrafinowaniem.

W chwili, kiedy Eoljon, jakby ostatnia z jego gwiazd na niebie, gaśnie na wieki, w ponurej duszy Wacława rozpala się pamięć całej jego dawnej ohydy w taki palący żar niemiłkających ani na chwilę wyrzutów i rozpaczy, że pragnie kary i śmierci, byle zbyc pamięci, gorszej niż piekło. Ustęp niezwykle silny. Zanewne, »niesamowitość« przechodząca niemal granice, ale lek i rozpacz zdrajcy, panujące nawet nad uśpionym, oddane niepospolicie. Ma się wrażenie, jakby się widziało przedziwnie oświecone rozdzrganie bagiennych oparów...

w. 361: *rycerz Solimy* — Krz. zowiec, por. str. 7.

w. 358—371: Ustęp XIII — to kontrast między dawniejszym Wacławem, *aniołem stepu*, a dzisiejszym — *marą*. Podnosi go poeta ostatniami, jakby od siebie danymi pytaniami.

XIV.

Smutny był koniec jego pierwszej żony;
 Dostała wcześniej anielskiej korony,
 Zamordowana, utopiona w stawie,
 375 Gdy na wojennej był Wacław wyprawie.
 Mówią, że obce pomściły się prawa
 Śmierci synowej, na ojcu Wacława.
 Jeżeli tak jest? o! Chryste na męce! —
 Jakie w tym rodzie serca! jakie ręce!
 380 Mówią — że ojciec Graf w turmę zamknięty
 Umarł przed sądem — a drudzy, że ścięty;
 Lecz takiej rzeczy myśl nie wierzy sama:
 Na takim wielkim rodzie? taka plama!
 Tak wielka szyja złamana nad gminem?
 385 Lecz ojcu nie mieć litości nad synem!
 Ale zabójców nasłać na synowę,
 I za pieniądze móc odkupić głowę!
 Gdy nieraz olów ludzki się zagłębia
 W serce orlicy, i za śmierć gołębia:
 390 Niktże tej śmierci pomścić się nie umie
 Na krwi wysokiej? na wyniosłej dumie?
 Niktże — prócz syna — co za te popioły
 Ojcowi musiał miecz pokazać goły?
 Tak się więc zbrodnia ogniwami winie,
 395 Że ojciec własny, wroga widzi w synie;
 Albo umiera syna krwią czerwony,
 Nie pożegnany i nie przebaczony;
 Albo tak skala syna pierś łabędzią,

w. 372: Pierwsza żona Szczęsnego, Gertruda Komorowska (Marja u Malczewskiego), została istotnie utopiona przez zbirów ojca Szczęsnego, Franciszka Salezego Potockiego.

w. 393: *ojcowi* — zam. o'cu.

Aby mu nie był czystszy, ani sędzią:
 400 Aż tam nareszcie stanie pochyłony
 Zdrajca narodu, przed zbójcą swęj żony;
 Aż znowu wróć pod zwyczajne prawa,
 I od przedajnej głowy wyższa — krwawa.

XV.

Ale to pewna, że śmiercią tej żony
 405 Graf Wacław dziwnie na sercu zmieniony.
 Ponurość ciemne okryła oblicze,
 Serce zamknięte ludziom, tajemnicze,
 Na czole duma. Gdy kto weń uderzył
 Miłością czystą ojczyzny — nie wierzył.
 410 Na wszystkie echa rozkoszy i jęku
 Serce się jego już pozbyło dźwięku.
 Coś ma cichego, okropnego w łonie.
 Mówią, że myśli o polskiej koronie;
 Króla w nim widzą przyjacielskie oczy,
 415 Wielkość wysledza głos fałszu proroczy:
 Jam go opuścił śród tego zamętu
 Myśląc: i cóż jest twardość dyamentu!
 I cóż jest wierność grobowi, pamiątkom,

w. 372—403: Ustęp XIV. Poprzedni ustęp mówił o Wacławie, kochanku Marji, z której śmiercią *Graf Wacław dziwnie na sercu zmieniony*, rzecz więc zupełnie naturalna, że ustęp XIII daje ponury obraz jej śmierci i tej śmierci następstwa, ujęte tutaj w formę domysłów i przypuszczeń ludzkich, które zbija Wacław podczas swojej spowiedzi (ustęp XXXV). W jedno z nich, wyrażone przez poetę słowami: *Niktże (tej śmierci pomścić się nie umie) — prócz syna — co za te popioły Ojcowi musiał miecz pokazać goły?* (XIV, 392—393), zmienił się końcowy ustęp XVII ustępu *Pieśni II Marji*: »Aż w nim powstała ta cheiwość szalona Krwi — krzyku — dzwonów — płomieni popusutego łona, Co domowej niezgody rozpala pochodnię, I w własnem swoim gnieździe — zbrodnią karze zbrodnię«. Nagromadzenie tych najrozmaitszych poglądów, oczywiście zrobione nato, aby nam także kazać zapytać: *Jakie w tym rodzie serca! jakie ręce!* oraz aby zaznaczyć, że od tej śmierci Wacław zmienił się zupełnie.

W sercu najtwardszem? jakimże to wrątkom
 420 Daje się dusza unosić Wacława?
 Chmurzy się niebo — burza będzie krwawa.
 Więcój niż Boga, ta dusza tajemna
 Zamyka w sobie — przyszłość będzie ciemna!
 Bogdajbym nie zgadł! lecz smutna w nim siła;
 425 Miłość go tknęła, boleść nie zabiła;
 Więc jeszcze nadto w nim miłośnej siły,
 A już nikogo kochać — prócz mogiły.
 O! kraj nieszczęsny, co jak spadkobierca
 Po żonie weźmie dar strutego serca.
 430 Ludu! przeżegnaj tę marę złowrogą!
 Ona na scenę świata wchodzi z trwogą;
 Myśli, że anioł ją rzucił obrończy,
 Nieszczęściem zaczął — a piorunem skończy.

XVI.

A dziś — już koniec! Do Wacława gmachu
 435 Weszła posępna królowa przestrachu.
 Czy go kto otruł, czy struła zgryzota —
 Kona, a przy nim synek, róża złota,
 Gwiazdeczka ranna, także wędnie, gaśnie.
 A w zamku bójka, kradzieże i waśnie.
 440 Ten bierze sprzęty, ten ściany odziera;
 Zamek się niszczy, pan zamku umiera.
 Gdzie żona? — Ona w najciemniejszej sali

w. 419: *wrątkom* — wrącam, burzącym się myślom.

w. 404—433: Ustęp XV. Tragedja wielkiej duszy zaczęta. Wacław nie ma już pragnień ani złudzeń żadnych. Po tym strasliwym prologu przyszłość będzie ciemna. Bohater *nieszczęściem zaczął... a piorunem skończy*. Charakterystyka Wacława ciągle podawana nam jako domysł ludzkie, albo spostrzeżenia opowiadającego, którego anonimowość trudna czasem do przeniknięcia. Czasem jest to przejęty od Byrona środek techniczny: poeta jako naoczny świadek

w. 435: *posępna królowa przestrachu* — Śmierć.

Brylanty chowa i papiery pali;
 Nie sama — Greczyn w Arnauta stroju
 445 Leży na złotém wężgłowi w pokoju;
 Jak sułtan jaki wydaje rozkazy,
 A nie powtarza wydanych dwa razy,
 Bo go ta piękna słucha, myśl zgadywa,
 I całuje go w ręce — nieszczęśliwa!

XVII.

450 »Dyanno!« Przyszła, stanęła w pokorze.
 »Zrzuć teraz, piękna, te ślubne obroże,
 Wypogodź teraz czoło lodowate.
 Lubię tę chłopkę, tę polską Hekate,
 A skoro tylko zabłyśnie Fingary,
 455 Sam pójde patrzeć, jak zamawia czary
 I śmierć posyła ludziom z ciemnej groty«.

— »O! Antynoe, już czuję zgryzoty,
 A przecież śmierci męża jam nie winna.
 Ona to! ona, ta kobieta gminna,
 460 Musiała jakieś zemsty niepowszednie,
 Lub spełniać jakie chłopskie przepowiednie;
 A gdy ja chciałam, by ta wiedźma z piekła
 Czarę miłośnem zaklęciem urzekła:

w. 441: *Arnaut* — turecka nazwa Albańczyków.

w. 453: *Hekate* — według greckich poetów bogini podziemna, która z nieubłaganą surowością włada pomiędzy cieniami, a równocześnie, jako nocne widmo czarodziejskie, panuje nad złemi i szkodliwymi demonami, wywoływa duchy zmarłych z podziemia, a nocną porą straszy przechodniów pokutującymi marami. Przedstawiano ją w różnych epokach rozmaicie. Zrazu podobnie jak Artemidę, później jako trójpostaciową niewiastę (trzy posągi złączone), także z trzema głowami: konia, psa i lwa.

w. 454: *Fingary* — turecka i nowogrecka nazwa księżycy.

w. 457: *Antynoe* — wolacz od Antinous; tak zwał się ongiś jeden z załotników, starających się o rękę Penelopy, żony Odyseusza.

Ona — o! srogi i okropny błędzie! —
 465 I może on mię trupem kochać będzie,
 I z grobu przyjdzie po miłość umarły».

Tu się powoli drzwi sali otwały.
 Struchleli nagle oba kochankowie:
 Wszedł śpiący, z szmatą skrawioną na głowie.

XVIII.

470 Kto go tak ubrał? Nieraz synek mały,
 Kiedy na ojca padał księżyc biały,
 Widząc, jak w świetle twarz się Grafa mroczy,
 Dwie białe róże kładł ojcu na oczy;
 Lub w obłakaniu (o! jasne i wdzięczne
 475 Dziecka przysługi!) promienie miesięczne
 Od ojca wzroku brał na swoje lica,
 I tak zesmutniał cały od księżycy.
 A dziś — okropność! miałżeby Wacława?...
 Przy łożu chustka ta leżała krwawa —
 480 Miałżeby synek ten łachman grobowy,
 Może z Anioła ciemnego namowy,
 Na głowę ojcu?... — o! nie, ta czerwona
 Chusta nie była w rękę Eoljona.
 O! nie — przysięgam, święci aniołowie!
 485 Syn nie położył mu téj krwi na głowie.
 Bo mniej straszliwa byłaby ofiara,
 Gdyby ojczyzny saméj przysłał mara,
 Zajrzeć w lekarstwo zaprawne piołunem,
 I zdrajcę takim nakryła całunem;

w. 468: *oba kochankowie*, zam. oboje, dwoje kochanków.

490 Aby raz jeszcze, nim go Bóg obudzi,
 Czerwono wrył się w pamięci u ludzi.

XIX.

Cóż to? czy serce w téj kobiecie pękło?
 O marmur czoło uderzyło, jękło,
 Kość zadzwoniła, gdy czołem upadła
 495 Przed same nogi groźnego widziadła.
 I dziwnie... zadrżał, oczyma nie mignął,
 Lecz cały zadrżał, i cały się wzdrygnął,
 I stanął chwilę we śnie, zadziwiony,
 Jakby usłyszał skąd o śmierci żony.
 500 Lecz chwilę tylko chwiał się jak na szali
 I nie obudził się — i poszedł dalej.

XX.

Sen to, czy mara jaka niezbawiona?
 Krzyczą po zamku, że Grafini kona.
 Nie dowiedzieć się z czego u Greczyna,
 505 Krew w nim zastygła, zimny jak gadzina;
 W pochodni światło obłakany patrzy,
 Chłodny jak kamień, od marmuru bladszy.

w. 491: Ustępy XVI, XVII, XVIII, XIX, XX poświęcone są Grafini i Grekowi. Rolę Grafini objaśniłem przedtem. Grekowi chodziło najwyraźniej o... brylanty.

Motyw zabójstwa Grafini przerażeniem, jakie szło od głowy męża, nakrytej *krwawym całunem*, charakterystyczny z tego powodu, że żona zabija męża, który nosi w sobie śmierć, podaną przez nią mężowi w czarze z miłosnym napojem. To nakrycie jednak głowy *chustą krwią zbryzganą*, w której mu *kozacka spisa* *Podala w nocy sąd na infamisa* — niczego nie tłumaczy, niczego nie symbolizuje.

Ona sama, jako *śmierci przyczyna* (XII, 345), jako wieczny wyrzut narodu i sumienia, tak straszny, że *widm nie potrzeba* (XII, 317), nawet jako tylko środek artystyczny — naturalny i przepysznie spełniający swoją rolę, na głowie Wacława, położona nie wiedzieć przez kogo, razi sztucznością.

w. 492—517: Ustępy XIX i XX — to obraz śmierci Grafini. Stan psychiczny Wacława, odczuwającego duszą tę śmierć przez siebie zadaną, wyrażony 6 wierszami niezwykle plastycznie i nastrojowo.

Grafini kona — mówią — on nie słyszy.
 Złękli się ludzie jego trupiěj ciszy,
 510 Trącają — milczy jak widmo zakłęte,
 Usta ma drżące, zęby mocno ścięte;
 Wzięli, zimnego zanieśli na łożę.
 Co się w tym zamku stało? Wielki Boże!
 Tu śmierć nie czeka zwyczajnej kolei.
 515 Grafini — mówią — była przy nadziei;
 Wszyscy widzieli i tłum cały pyta,
 Czy jeszcze żyje, czy z dzieckiem zabita.

XXI.

Patrzaj! tam słońce nad Dnieprowe skały
 Wyrzuca świetne brylantowe strzały.
 520 Kwiaty ze łzami się podnoszą wdzięczne,
 Tam w błękit czoło chowa się miesięczne;
 Sarneczki złote na kurhany skaczą,
 Róże się polne otwierają, płaczą,
 Orzeł na krzyżu z rosy skrzydła trzepie.
 525 Jaki spokojny wschód słońca na stepie!
 Tylkoż w tym zamku, złote słońce budzi
 Z przerażonego snu pobladłych ludzi!
 Tylkoż w tym zamku otworzą się oczy,
 Które przed nocą mgła śmierci zamroczy!

w. 518—533: Ustęp XXI. Naprzód małeńki, 8 wierszy zaledwie liczący obraz spokojnego wschodu słońca na stepie, po którym da nam poeta w następnym ustępie obraz martwego Eoljona. Dwie śmierci, dwa »zachody« życia ozłacają *brylantowe strzały* wschodzącego słońca. Takich kontrastów, jako środków artystycznych, mających wywolywać odpowiedni nastrój, używa poeta ciągle, oddawna, z całą świadomością, n.p. w *Lambrze*, w *Szwajcarii*, *Ojcu za-dumionych* i t. d. Ażeby zaś kontrast ten silniej jeszcze wystąpił, poeta sam zwróci nań uwagę (w. 528—529), kończąc ten bezpośredni zwrot do mających nastąpić wypadków — cudną czterowierszową dygresją o życiu, które natury nie obchodzi zupełnie.

530 Na coż więc było na ten świat przychodzić
 Cierpieć, miłować, nienawidzić, szkodzić:
 Ażeby wreszcie słońce dawno znane
 Weszło, ostatnie, — i nie zapłakane.

XXII.

Graf Wacław woła. Wybito podwoje,
 535 Wchodzą. Czy trupów powalonych dwoje?
 Graf Wacław, przy nim synaczek małeńki —
 Zbledli — Graf woła księdza i trumienki —
 Wyszli; pojechał kozak do stolarza.
 Do Grafa księdza wzięto od ołtarza.
 540 Ksiądz ten pocieszać umiał nieszczęśliwe;
 Spokojne lice i włosy miał siwe.
 Obudził ojca, wziął go pod ramiona,
 Postawił, krzyż mu przycisnął do łona,
 Na złote słońce obrócił go twarzą,
 545 Na róże, co się pod oknami żarzą;
 Słońce i kwiaty, czy Boską mu chwałę,
 Czyli dzieciątko te przypomną małe;
 Dobrze, bo przerwą posępne rozpaczę,
 Bo może westchnie, przemówi, zapłacze?
 550 Nie, stoi martwy, twarz mu się nie mieni:
 Tak w brylantowym powietrzu jesieni
 Stoją bezlistne drzewa, w szronu szacie,
 I zadumane, jak po jakiejś stracie.

w. 534—565: Ustęp XXII — to obraz duszy Wacława, bezpośrednio nie mał po śmierci Eoljona. O niej samej dowiemy się od Wacława w scenie spowiedzi (ust. XXIII). Stan ten — to zupełna martwota, jakgdyby dusza ojca odeszła z duszą syna, zanim jej wrócić każa. Poeta podkreśla ją kilka razy (w. 542, 550—553, 557, 562—563), używając między innymi środkami — niezawodzącego nigdy kontrastu (w. 544—545) i porównania (w. 551—553).

I przyszedli ludzie z gotową trumienką;
 555 Ksiądz się obrócił i znak im dał ręką,
 I wzięli trupka, po cichu wynieśli.
 Ojciec nie słyszał tych ludzi — a jeśli
 Słyszał, to udał dziwną licem chłudość,
 Ostatnią dumę w nieszczęściu — łagodność.
 560 I postradawszy tę dziecinę drogą,
 Już nie zapytał się o nią nikogo.
 I tak był długo bez myśli, bez czucia,
 Jak trup, nim dzieło znacznie się zepsucia.
 Ksiądz złożył ręce na piersiach i czeka
 565 Na smutną spowiedź grzesznego człowieka.

XXIII.

Usiadł... ksiądz słucha... on usty drżącemi:
 »Księżu! skończyłem już wszystko na ziemi.
 Patrzaj! czy widzisz ten komin i tygle?
 Bóg mię ukarał srogo, niedościgle;

w. 566—932: Ustęp XXIII—XXXIII, to te »mające wyjednać u czytelnika nieco pobłażliwego sądu dla reszty i ogólnego układu pisma, kilka strof spowiedzi Wacława«. Podobnie jak spowiedź księdza Robaka, pozwala spowiedź Wacława wejrzeć w jego duszę, do najtajniejszych, zakrytych dla ludzi jej głębin. Podobnie jak Robak, i Wacław odstawia nam ją z całą prostotą i prawdą, z tą tylko różnicą, że dusza Wacława jest bardziej złożona. Wacław spowiada się, aby choć jeden człowiek modlił się za nim na świecie. Spowiedź zaczyna się zupełnie naturalnie uświadomieniem sobie i księdzu, że to są chwile ostatnie. On wie, że go otruto, dlaczego zrobiono to czystym prochem antenatów, który trucizną stał się dopiero wówczas, gdy wstąpił w ciało zdrajcy. Oni wiedzieli chyba, że serce Wacława, już tak spokojne! już takie zabite! odżyje burzą, piorunami i piekiem przeszłości, że rozpętają się w nim huragany wyrzutów sumienia i rozpacz. I tak się stało! Odżyło wszystko (tak nieraz otwiera się rana, która się z wolna poczęła zaskorupiać!), prócz jednej zdolności ukochania kogoś lub czegoś. Onby już swojej pierwszej pani, gdyby nawet wstała, kochać już nie mógł. Ponieważ zaś prochy antenatów, narodowo czystych, jakby wywołały z grobu zapomnienia całą jego tragiczną nieczystą przeszłość, przeto, i psychologicznie i artystycznie prawdziwie i naturalnie, odstawia ją Wacław księdzu w następującym bezpośrednio ustępie XXIV. Tragedja jego narodowa zaczęła się ze śmiercią pierwszej żony, spowodowaną przez ojca, przeto naprzód oświecenie stosunku Wacława do ojca. Podejrzewano go, że był ojcobójcą, ale on śmierci ojca nie winien.

570 Wiem, co w tej czarze było — o! anioły!
 Ogień miłosny i ludzkie popioły.
 Wypiłem z moim synkiem przez półowę
 Co? może ojców mych resztki grobowe?
 Strasznie pomyśleć, kto napój przypawił,
 575 Co mię otruło, jaki się duch zjawił,
 Aby mi dzisiaj po nocy powiedział,
 O czym grobowiec dotąd tylko wiedział.
 Cóż to za zemsta? jacy to nieczuli,
 Co zdrajcę prochem antenatów struli;
 580 Tym czystym prochem, zdradzonym nikczemnie,
 Co się trucizną stał, gdy wstąpił we mnie.
 A jakąż to myśl mieli ci mściciele,
 Uśpione czucia budzić w mojem ciecie,
 Żyły nalewać znowu krwią namiętą,
 585 Zbudzić to serce, gdzie zgryzoty piętno.
 Wiedzieliż oni, co ogień poruszy
 W czarném sumnieniu, w pokalanéj duszy?
 Jaka rozogni się w krwi mojej zgniłość?
 Co wyjdzie na jaw? — zaprawdę, nie miłość!
 590 Ale zgryzotę zbudzili i pychę:
 Przekleć! serce już tak spało ciche!
 Już tak popiołem i pleśnią nakryte,
 Już tak spokojne! już takie zabite!
 A teraz znowu krwią nalane wściekłą,
 595 Boleść w nim, burza, pioruny i piekło,
 Wszystko, co ludzi przerażało trwogą,
 Ale nie miłość — co kochać? i kogo?
 Ach, gdyby nawet z grobu wywołani,
 Gdyby ta nawet moja pierwsza pani,
 Bibl. Nar. Nr. 49 (Słowacki: Trzy poemata)

600 Ta najkochańsza, najśladza umarła,
 Wstała — to serce by moje rozdarła;
 Płakałbym może i z cierpień się skarżył,
 Alebym kochać już nie mógł — nie ważył;
 Bo na to trzeba jaśniejszej godziny
 605 Niż starość ludzka, pełna krwi i winy,
 Co jako skrawy, chmurny zachód słońca,
 Otwiera niebo bez Boga, bez końca.

XXIV.

»Księżę, są o mnie haniebne powieści,
 Nie wierz im wszystkim. Bez sławy, bez cześci,
 610 Nie jestem takim jak ludzie niewinni,
 Ależ ja więcej cierpiałem niż inni,
 Ale ja większe miałem serce w sobie
 Do nakarmienia... Tam małżonka w grobie,
 Tam ojca sądzą mojego, o! zgroza!
 615 Na śmierć haniebną, na karę powroza.
 Mój teść otrzymał wyrok nie ojczysty...
 Mój ojciec, mój ród dawny, dumny, czysty,
 Wszystko to jedna godzina obali! —
 Dzisiaj to wszystko ważyłbym na szali,
 620 Dzisiajbym wolał, o! Boże! przed gminem,
 Powieszonego się nazywać synem:
 Lecz wtenczas, z hańbą grożone zameściem,
 Mój ojciec, mój ród, moje imię!... Szczęściem
 Mój ojciec umarł — tak jak był powinien...
 625 Czemuś ty księżę, zadrzał? jam nie winien...
 Że mię widziano tej nocy przy turmie
 W księżycowego wichru dzikim szturmie?

Na zapienionym żem uciekał koniu,
 Żem pędził z głuchym tententem po błoniu,
 630 Że ojca mego we krwi znaleziono
 Nazajutrz... księżę! rozedrzyj mi łono
 I obacz serce, nim pójdę do trumny,
 Bo mówię prawdę — lecz przysiąc, za dumny.

XXV.

»Jestem niewinien, ale nie wiem czemu
 635 W pamięci jestem podobny winnemu.
 Bo wyznam tobie, żem tej śmierci żądał,
 Nawet spodziewał się, czekał, wyglądał;
 Bo i wieść o niej chwyciłem łakomą
 Myślą, lecz zimno — jak rzecz już wiadomą.
 640 Coś we krwi miałem, coś w myśli ustrzęgło,
 Co mi o śmierci tej pierwój przysięgło.
 To kiedy przyszli zwiastować mi smutni
 Ludzie, co chciwi męczyć, i okrutni
 Lubią posępnych słów oglądać skutek:
 645 Wzgardziłem dumnie pokazać im smutek;
 Lecz pokazałem lice zimne, szczere,
 Już podniesione nad zwyczajną sferę;
 Już w tej krainie cichój, wewnętrznej burzy,
 Gdzie nawet czoła śmierć ojca nie chmurzy,
 650 Ale przechodzi wszystko ziemskie, mija,
 Jady nie trują i miecz nie zabija.
 Pokazałem im tę niezmiennność czoła,
 Które zmroziło dotknięcie anioła.

w. 634: Ustęp XXV. On śmierci ojca pragnął; wiadomość o niej *chwycił* takomą myślą, on ją przeczuwał zresztą oddawna, więc kiedy przyszli mu ją zwiastować, miał lice zimne, co ludzie wytłómaczyli inaczej.

Wytlómaczyli to ludzie inaczej,

655 Ten marmur bolu — tę ciszę rozpaczy.

XXVI.

»Ty wiesz, że dumni nieszczęściem, nie mogą
Za innych śladem iść tą samą drogą.

A gdy się duma z nieszczęścia wylęgnie,

To i Bóg czoła takiego nie sięgnie,

660 To nawet wiara nie pochyli głowy:

A cóż dopiero piorun, miecz, okowy,

A nawet ludzkie przekleństwo i wzgarda:

Tak była ciemna, taka była harda

Duma w tém sercu. Na co mnie przywiodła,

665 Ty wiesz — lecz duszy nie sądz, bo nie podła.

Jam się nie rzucił jak koń do zawodu,

Ja sam stanąłem przeciwko narodu;

A gdym się oprzec musiał w rzeczy ciągu,

To się na wielkim oparłem posagu.

670 I nie szukałbym był podpory wroga,

Gdybym większego znalazł w sercu — Boga.

XXVII.

»Nie niewinniam ja siebie, o! księżel

Jakie mię gryzły tu w tój piersi węże,

w. 656. Ustęp XXVI. Większe jego serce, olbrzymia duma, gdy się zwłaszcza z *nieszczęścia wylęganie*, nie pozwoliły mu usprawiedliwiać się ani prosić o litość, przeto pomiędzy nim a ludźmi zaczęła się czynić coraz głębsza, rozdziałająca przepaść, tak, że w końcu stanął sam przeciw wszystkim, a potrzebując oparcia, oparł się na *wielkim posagu* — Rosji.

w. 667. *przeciwko narodu*, zam. przeciw narodowi.

w. 672: Ustęp XXVII. Od tego czasu zaczęła się jego tragedia — Polaka. Ludzie wytłumaczyli to na swój sposób, nie wchodząc w pobudki. Jego spokój zewnętrzny brali za wyraz lodowo zimnej duszy zdrójcy. On tylko wie, co się z nim działo na jawie i we śnie. Sumienie gryzło jak »węże«, a duma nie pozwoliła krzyknąć.

Jakie po nocach walki obłąkane

675 Z pamięcią, dumą; zaczęte, wytrwane;

Aż sumnieniowi uczynilem zadość:

Świadczą te oczy, te czoło, ta bladeść.

O! trzeba było siadać nad mém łóżem,

Gdy we śnie serce mi coś pruć nożem,

680 Gdy się budziłem w noc bezksiężycową

W ciemności, ze krwi piorunem nad głową,

Albo widm okiem do łóża przybity,

Zimny, i łzami i potem okryty,

Nie wiedząc, czemu serce drży boleśnie...

685 Mówią, że chodził po pałacu we śnie.

Nie wiem, lecz nieraz gdy sen ciężki spadał,

Możem wstał, chodził, płakał, jęczał, gadał,

Możem z krwi rękę o rękę ocierał,

Możem zabijał i trumny otwierał,

690 Możem się dzielił z kim jaką mogiłą,

Nie wiem: — bo o tém mi się wszystkim śniło...

I nawet dzisiaj na mnie krew czerwona

Na głowie... Gdzie jest moja druga żona?...

XXVIII.

»Stój! Stój! Nie szukaj tój kobiety, ojcie.

695 Od innych ciosy okropne, zabójcze,

w. 693: *Gdzie jest moja druga żona?* Drugą żoną Szczęsnego była właściwie dumna Józefa Marja Mniszchówna, ale ta dla Słowackiego nie istnieje; poeta myśli teraz o Greczynie.

w. 694: Ustęp XXVIII. Ustęp poprzedni kończy się zapytaniem: *Gdzie jest moja druga żona?*, pozornie nie mając żadnego logicznego związku z tem, co Wacław mówił poprzednio. Zwrot ten do żony jest jednak psychologicznie naturalny i prawdziwy, bo ona właśnie zrobiła, że *śmierć kraju zniósł*. Przeszłość przypomina teraz niebezpieczeństwo: *Dawniej anioł piękności i wróg nieodstępny, a dziś — już — jedza blada*. Więc chciałby zniszczyć wszystko, co dla niej zrobił, aby z nią razem zniknęła na wieki pamięć o nim — zdrójcy.

Lecz od niej gorsze ja rany poniosłem.
 Ona zrobiła, że śmierć kraju zniosłem.
 Anioł piękności i wróg nieodstępny,
 Stała, gdy z hanbą walczyłem posepny.
 700 Com cierpiał w sobie i com czuł — nie czuła,
 Co w sercu mojem zmartwychwstało — struła,
 Aż przyszło wreszcie, że dziś, jędba blada...
 Lecz z tego niechaj ona się spowiada,
 To na jej sercu, to je kiedyś zrani —
 705 Patrz! ja ten ogród zasadziłem dla niej,
 Te drzewa, łąki, tam niby w oblędzie
 Strumienie i na błękitach łabędzie,
 I ta z marmuru Karary łazienka,
 To dla niej... Patrzę, i serce mi pęka;
 710 Bo to zostanie po mnie wszystko — długo...
 O! gdybym to mógł jaką krwawą strugą
 Zalać i zniszczyć i duszę wyzionąć,
 I z zamkiem i z nią i z wszystkiem utonąć;
 Zostawić gruzy leżące na pował,
 715 Którychby człowiek nie żał, nie żałował,
 Nie myślał o mnie tu błędząc, nie gadał:
 Że tutaj zdrajca chodził, dumał, siadał,
 Tu się śmiał z Boga, a tutaj łzy ronił;
 A tu się w grocie kaskadą zasłonił,
 720 Bojąc się słońca, co tę ziemię złocił,
 I żył jak węże w zimnie i w wilgoci.

w. 705: Sławny park, opiewany przez Trembeckiego, założony przez
 Szczęsnego dla cudnej Zofji Greczynki i stąd nazwany Zofjówką.
 w. 708: *Karara*, miejscowość we Włoszech półn., sławna kopalnią białego marmuru.

XXIX.

»Miłość ojczyzny — o! to słońce świetne
 Dla serc, co dumne, sieroce, szlachetne,
 Całe się czystym miłościom oddadzą.
 725 Jako żorawie, co łańcuch prowadzą,
 Świetniejsze serca wylatują przodem;
 Umrą — ich duchy lecą przed narodem,
 Ich wrzask, ich imie, ich lament, to hasła.
 Gdy matka po nich zapłakana wrzasła,
 730 Ojczyzna cała słyszy, leci, mści się;
 W gołębiach wtenczas są serca tygrysie.
 Umrą wygnani — to naród wysyła
 Posłów zapraszać, niech wróci mogiła.
 A choćby nawet zapomnienie, nędza,
 735 Jednego paciérz nad mogiłą księdza,
 I wieczna cisza w grobie nieplakany:
 O! ja, zazdroszczę tym czystym, nieznany,
 Ja, co się aż tam, aż do słońca darłem —
 O, czemu ja też dzieckiem nie umarłem!
 740 Czemu!... Ach wtenczas, księżu, nie dla sławy,
 Lecz przyleciałem był raz na bój krwawy,
 Ażeby umrzeć. — Na Boga żywego,
 Jaby się teraz nie miał chępić z czego...
 Szyki się biły pod Maciejowicą,
 745 Wleciałem ściśle zamknięty przyłbicą;

w. 722: Ustęp XXIX. A przecie on wie, czym jest uczucie miłości ojczyzny: czuje jego wielkość i słodycz. On miał ją w sobie, lecz choć się *aż do słońca darł*, to słońce zgasło przed nim. Los i ludzie poili go goryczą w tych nawet chwilach, gdy o ojczyźnie tylko myślał, nie o sobie, i gdy chciał — on, zdrajca, polec jako Polak pod Maciejowicą (zam. pod Maciejowicami).

w. 745—6: *Wleciałem ściśle zamknięty przyłbicą*. Tego rodzaju tajemniczy rycerze, to ulubiony motyw romantyków; por. »czarnego rycerza« z *Grażyny* Mickiewicza.

Dziwny był ubior, ale to miał zyskiem,
 Że nie witano mię zdrajcy nazwiskiem;
 Wreszcie i harmat zakryłem się błyskiem;
 I smutny w sobie wpadłem we krwi morze.
 750 Słyszałeś o tym żelaznym upiorze?
 Długo to było między ludźmi sporem,
 Kto był tym w ogniu rąbiącym upiorem.
 O! śmierci! ludzi tysiącznych morderca!
 Nie chciałaś wtenczas téj krwi, tego serca.
 755 Lont nie chciał harmat przedemną zapalać;
 Kule się bały we krwi mojej zwałać,
 Lecz omijały, świszcząc koło ucha;
 Miecz mój po kaskach dzwonił jak miecz ducha.
 Los miał okropną zbawić mię bezczelność,
 760 Jam był ubrany w straszną nieśmiertelność.
 Jaka w tym wola Boska, nie odgadnę,
 I nie chcę myśleć — lecz gdy myślę, bladnę.
 Sam na tym polu, gdzie psów wściekłych kupa,
 Na koniu, nakształt siedzącego trupa,
 765 Gdy z ciał wychodził obłok krwawy, dymny,
 Gdy księżyc wschodził straszny, blady, zimny,
 Stałem: wtém jeden z niedomarłych, blisko.
 Wymówił moje przekłętę nazwisko:
 Schylałem się z konia — patrzę: krwią się broczy
 770 I krew mi swoją ten człek rzucił w oczy...
 Dobyłem miecza — o! nie bladnij, księżu —
 Choć syknął na mnie ten, gorzej niż węże,
 Chociaż mię taką pieczęcią naznaczył,
 Jam go nie dobił — alem nie przebaczył.

XXX.

775 »Księżu... gdzie teraz Kościuszko? — w mogile!...
 Kiedy żył jeszcze, były takie chwile,
 Żem ja był wrogiem jego świetnej sławy.
 Chciałbym dziś widzieć cień jego postawy,
 Albo grobowiec przy bladych lawinach;
 780 Musi być smutny nad nim szmer w drzewinach;
 Smutne tam duchy bładzą w księżyc świetny,
 Wołając: ojczu, choć on był bezdzietny.
 Mówią, że idąc za trumny orszakiem,
 Koń jego stawał przed każdym żebrakiem,
 785 Tak nauczony za życia rycerza.
 To wszystko, księżu! serce mi rozszerza
 Łez pełne, burzę zapowiada ciemną...
 Patrzej, co stało się z nim — a co ze mną!...

XXXI.

»Obróć tu, księżu, twe łzawe oblicze.
 790 Ileż ja w życiu chwil okropnych liczę!

w. 775: Ustęp XXX. Spowiedź zmiażdżonego serca nie może być oczywiście spokojnem pasmem opowiadania wszystkich chronologicznie po sobie następujących wypadków. Fakty — wywołują uczucia i refleksje, które wybuchają płomieniem rozpaczy, albo spływają kroplami lub potokami łez. Nic dziwnego więc, że Maciejowice przywołują na pamięć Kościuszkę, a jego biała dusza i jego *świećta stawa* — palące bólem uświadomienie sobie własnego losu i życia. Rozrzewnienie przechodzi w szloch... Jako muzyka uczuć — ustęp ten nieporównany. — Kościuszko umarł dopiero w 12 lat po śmierci Szczęsnego.

w. 779: *lawiny* — są to wielkie masy śniegu, spadające z gór.

w. 789: Ustęp XXXI. Panujące dotychczas nad sobą serce lka o litość. Nie okazał mu jej nigdy nikt, a jeżeli uczuł w powietrzu jakiś szmer litości I coś szeptało: *nie płacz!* z każdej cegły, jak wówczas, gdy odwiedzał dom swej pierwszej żony, przeklęty los pokazał mu twarz *dziką, okropną, surową*. Motyw odwiedzin domu pierwszej żony, przypomina motyw odwiedzin przez Gustawa »domu nieboszczki matki« z IV części *Dziadów*. Oczywiście, cel jednych i drugich odwiedzin zgoła inny. Szlachetna postać Miecznika z *Marji* zmienia się tutaj w jakąś ohydłą postać barbarzyńcy. Cały zaś ten wstrętny pomysł służy chyba do tego, ażeby resztki *antelstwa w duszy Wacława* zniknęły zupełnie i aby Wacław, broniąc się przed ludźmi, opancerzył się *trwogą*, paraliżując ich złość.

Słuchaj, po śmierci kraju, już zhańbiony,
 Dom odwiedzałem mojej pierwszej żony.
 O! co ja czułem, gdy lip poczet stary
 Zaczął nademną swoje smutne gwary,
 795 Kiedy się miesiąc w liść zabłąkał szumny...
 Ja, co tam żyłem młody, jasny, dumny,
 Z nią razem, ojczel! Ja, co w tej krainie
 Myślałem niegdyś, że młodość nie minie;
 Wchodzę... trzy razy wspomniałem o Bogu,
 800 Trzy razy, błady, przejść nie mogłem progu.
 Przeszedłem wreszcie — w komnatach nikogo...
 Ściany się zdały napelnione trwogą,
 Że mię tam widzą samego w ciemności;
 Ale w powietrzu jakiś szmer litości,
 805 I coś szeptało: *nie płacz*, z każdej cegły;
 A mnie ogromne łzy po twarzy biegly.
 Na coż to przyszedł ów Wacław wyniosły,
 Chwasty go same w tym gmachu przerosły.
 Sam — o! bogdajbym był sam, o! zhańbienie!
 810 Starzec wychodzi w księżycu promienie,
 Poznaję — mój teść... przy niepewnym świetle
 Widzę, że w rękę ma jakieś zawicie;
 Twarz jego dzika, okropna, surowa;
 Rozwija — patrzę — ojca mego głowa!..
 815 Po śmierci zemsty bezczelnej dokazał,
 Wyjął z mogiły trupa i ściąć kazał.

XXXII.

»To tak mi starzec zwiędłe serce kruszy,
 To tak anielstwo wypędzono z duszy,

w. 817: Ustęp XXXII. Ale takie zamknięcie się w sobie nie uspokajało

To tak myśleli, że mię zdeptać mogą;
 820 Aż się od hańby obroniłem trwogą...
 Lecz nie pomogło... bo jak od zwierciadła,
 Od ludzi trwoga ta na mnie upadła.
 Bo wyschły jak trup, po uczuć pogrzebie,
 Jałem się lękać nie Boga, lecz siebie.
 825 Więc niech się skończy ten los, co mi ciąży,
 Niech w nieskończoność dusza się rozpręży;
 Wszystko straszliwe, co się w serce ciśnie,
 Niech się jak piorun wyrwie i rozbłyśnie.
 Niechaj część każda pokalanęj duszy
 830 Dozna właściwych bólów i katuszy;
 Lecz niechaj wszystko to w jednym mordercu
 Zamknięte, w jednym nie gryzie się sercu.
 O! były chwile okropne na świecie!
 I ta noc!... Księżu, pociesz ty mię przecie;
 835 Czy ty łzy tylko masz dla mnie pacierzem?
 Dla mnie, co stoję nad śmierci wybrzeżem,
 Co tu widziałem pełną tajemnicy
 Śmierć w synka mego błękitnej żrenicy.
 Okropność! jego usteczka różane,
 840 Miłością jakąś obłąkane, pjane,
 Z ognia oddechem, z luźniowemi gwary,
 Pocałunkami tu goniły mary.
 Widziałem moje sny młodości złote,
 Zachwyty, miłość, niepokój, tęsknotę,

duszy. Ona gryzła sama siebie, a los nie skąpił ani jednego cier-
 nia. Jednym z najstraszniejszych — to śmierć Eoljona, z którym
 skończyło wszystko, co go wiązało jeszcze z życiem. Na spotkanie
 z Wacławem, mającym odejść w mrok, wychodzi para dwojga
 widm: ojca i pierwszej żony, jakgdyby za nim »w mogile tęsk-
 niącej«. Ojciec rozumiał duszę syna, bo był powodem jego
 »zbrodni«, Marja przyszła z uśmiechem niezapomnianej miłości.

w. 831: mordercu zam. mordercy.

845 Wydane dziecka niewinném obliczem:
 Lecz on kochał nic, on tęsknił za niczém,
 A jednak tęsknił i kochał. Widziałem,
 Jak się w coś wpatrzył z obłąkania szalem.
 Myślałem — biedny! czego się on męczy?
 850 Łabędź w jeziora zakochał się tęczy,
 Umarł, nim zgasła, nie doczekał nocy.
 Lecz ile było w nim ognia i mocy!
 Jakie wyrazy tęskne, smutne, śliczne,
 Długo echowe i melancholiczne
 855 Z ust mu jęczały! Była jedna chwila —
 Myślałem, że mu skrzydelka motyla
 Z ramion wyrosną, że główka zaświeci
 Ogniem niebieskim, i w niebo uleci;
 Bo na paluszkach wstał, rosnął w człowieka;
 860 Myślałem, że już odemnie ucieka —
 Wrócił... przy nogach mi go ból pokonał.
 W godzinie jednéj kochał, cierpiał, skonał.
 O! cud okropny! co iskrę słoneczną,
 W serduszkku dziecka zamknął miłość wieczną.
 865 To, co ja dotąd w mojem sercu mieszczę,
 To go zabiło — a ja, cierpię jeszcze!
 I jeszcze kocham i widzę to jawniej
 W sercu, przed śmiercią, że kocham jak dawniej.
 Tu! z krzyżem, księżu! tu stawaj u czoła!
 870 Niechaj myśl moja tych snów nie wywoła.
 Niech nie przychodzi tu jój cień bladawy...
 Przyszła! — tam za nią stoi ojciec krwawy,
 Włos jego siwy — o! to męki moje
 Ta para, ludzi tych w powietrzu dwoje.
 875 A jednak twarze to może jedyne,

Co odpuszczają mi hańbę i winę,
 Co widząc dolą znękanego twarą,
 Jak inni ludzie, nie patrzą ze wzgardą.
 Maryo! nie idź za księżyc się chować,
 880 Dobrze, żeś przyszła się tu ulitować,
 Dobrze, żeś mi się duchem pokazała
 Taka posępna i cicha i biała,
 Jak gdyby za mną w mogile tęskniąca.
 Maryo! czekaj zachodu miesiąca,
 885 Pójdziemy razem — gdzie? — ja nie wiem. — Księżu,
 Wkrótce me ciało już ziemię załężę,
 Na długie słowa już mi braknie czasu.
 Każ uszyć nową jój suknię z atlasu,
 Każ włożyć wianek z róż świeżych uwity,
 890 Niech ją obmyją, ubiorą — kobiety...
 Pamiętaj... trumna to od wejścia czwarta...
 Patrz, jak ta szata już na nią podarta...
 Czy dobrze? — zrób to, nim promienie świtu...
 Patrz! uśmiechnęła się na to z błękitu.

XXXIII.

895 »Nie mów nikomu o mnie, sługo Boży,
 Niech mój grobowiec ludzi długo trwoży.
 Weź i tę chustę... choć krwią powalana,
 Możesz ją złożyć przed ołtarzem Pana,
 Albo... Dłaczegoś drgnął przed tym rozkazem?

w. 895: Ustęp XXXIII. Ostatni ustęp spowiedzi, to jakby ostatni rzut oka na całą przeszłość, o ile ją jedno spojrzenie zamknąć może, bolesny żal zmarnowanego życia, rozpaczliwa chęć wyszukania choćby najmniejszej winy w drugich dla usprawiedliwienia siebie i rozpaczliwe zmaganie się ze sobą dumy i upodlenia przed sobą. W mrok grobu prowadzi pałaca się jasno świadomość zbrodni Polaka. Zbolałe serce ma jakąś nadzieję, że może Bóg wspomni na męki i przebaczy, i błaga księdza o modlitwę.

900 Powieś tę chustę przed Panny obrazem,
 Musi być święta ta krew, co ją broczy.
 Bo mi ją kiedyś naród rzucił w oczy.
 Więc te męczeństwo poblądłego czoła,
 To mój ostatni jest dar dla kościoła.
 905 I jam coś ciernia czuł w mojej rozpaczce,
 Może Bóg wspomni na to i przebaczy.
 Żalu mojego najlepszą jest próbą
 To upodlenie się moje — przed sobą.
 Co będzie z moim duchem nad mogiłą?
 910 Pewnie nie gorzej, jak to, co już było.
 W dumie mój jeszcze przynajmniej znachodzę,
 Że mię przed śmiercią broni ulec trwodze.
 Gdy przy tém łożu nic, tylko rozpaczę,
 Gdyby mniéj dumny, płakałbym — nie płacę;
 915 Lecz coś jest we mnie, gdy w grób muszę wchodzić,
 Z czémby się żadne lzy nie mogły zgodzić:
 Wściekłość na siebie, żar, co się nie studzi,
 A nawet, księżu! jakiś żal do ludzi:
 Jak gdyby oni byli winni zdawna,
 920 Że się krew we mnie zaczerniła sławna.
 Lecz nie — i myśl ta nie może pocieszyć. —
 To wszystko... Księżu, czy śmiesz mię rozgrzeszyć?
 Olej, co czyni w Bogu śmierć wesolą,
 Czy się odważysz łać na zdrajcy czoło?
 925 Jam nie żałował, i nic nie naprawił,
 Kraj jeszcze we krwi — a jam go zakrwawił;
 I długo będzie ta krew po mnie płynąć,
 Tysiące walczyć i tysiące ginąć,
 Po mnie nieszczęścia więzienia i wojny —
 930 I mógłżebym ja w grobie spać spokojny?

O! nie! nadzieja jest szaleństwem dla mnie —
 A jednak — starcze, ty! módl się ty za mnie!

XXXIV.

Graf Wacław skonał. O! domysłów płonność!
 Na lice wyszła trucizny zieloność:
 935 Ale krew jego już dawno zepsuta;
 Ciągła samotność, lzy, wzgarda, pokuta,
 To nieraz także te trucizny duszy
 Wyjdą na ciało, zwiędłe od katuszy,
 I nieraz lice trupowi odmieniają,
 940 Połamią, poskrzają, zsiniają, pozieleniają:
 Więc może i te splamienia Wacława,
 Nie z gwałtu poszły, lecz z natury prawa.
 Lepiej tak wierzyć, niż oskarżać ludzi.
 Niech się podstępna ciekawość nie trudzi;
 945 Gdy ziemia z siebie rzecz przeklętą zrzuci,
 Niechaj spokojność w tłum zmięszany wróci.
 Lecz nie, ten zamek wre skargą i gwarem,
 Domysły rosną z niepokojem, swarem,
 Mówią, że pani chciała ukryć winę.
 950 Mówią, że miała otrucia przyczynę —
 Jaką? — nie można wierzyć w takie baśnie.
 Miałaby otruć małżonka — a właśnie
 Zadatek nowéj miłości i wiary
 W jéj łonie — po cóż przy kołysce maryl?

w. 932: Spowiedź ta, to właściwy romantykom środek techniczny. Używał go Walter Scott, Byron, używał go też już przedtem Słowacki.
 w. 933: Ustęp XXXIV. Po śmierci Wacława zamek wre gwarem domysłów i plotek, które poeta zbywa słowami: *nie można wierzyć w takie baśnie, każąc przypuszczać, że owe splamienia Wacława Nie z gwałtu poszły, lecz z natury prawa*. Robi to zaś dlatego, aby tajemniczej historii Wacława nie rozjaśniał ani jeden promyk pewności, jakkolwiek przecie Wacławowi duch powiedział, *O czem grobowiec dotąd tylko wiedział* (XXIII, w. 576–577).

XXXV.

- 955 Po ukraińskich stepach syczą żmije,
Pogrzeb się czarny z pochodniami wije,
A za pogrzebem groźny wicher wyje.
Smutno, posępnie przez kurhany płynie
Pogrzeb możnego pana w Ukrainie.
960 Z każdej mogiły ognista kolumna
Wytryska w niebo, gdy nadchodzi trumna.
Już przeminęła, a jeszcze czerwono
Wszystkie kurhany w Ukrainie płoną,
I rozmawiają cicho o pogrzebie.
965 Gwar na tym stepie, a cisza na niebie.
W ziemi grobowej głucha trupów wrzawa,
Bo między niemi stanął trup Wacława.

XXXVI.

- Człowiek? czy widmo? — Jakiś duch z burzanu,
Wyszedł na czoło ogniste kurhanu,
970 Pogroził ręką: »Zdrajco! otoż tobie
Trucizna w przodków wypróchniałym grobie.
Idź, trumno czarna, z ohydnyim człowiekiem,
Z trupem, co mojem wykarmiony mlékem.
Idź w ogień piekła za narodu zdradę!
975 W kołyskę kładłam i w prochy cię kładę.
Dzieciatko moje ty i moja żmijo,
Ziemia cię zmrozi, robaki spowiją.
A choć krew twoja kiedyś winę zmaże,

w. 955 i n.: Ustępy XXXV—XXXVI. Mrok niepewności staje się tem grubszy, że trumnę z Wacławem żegna tajemnicza wiedźma znanem przekleństwem.

w. 978—979: *A choć krew twoja kiedyś winę zmaże* i t. d. Odnosi się to prawdopodobnie do Aleksandra Potockiego, syna Szczęsnego, uczestnika powstania listopadowego, znanego poecie osobiście.

- Tego ci Pan Bóg zwiastować nie każe.
980 Choć Ukraina kiedyś zmartwychwstanie,
Ty się nie dowiesz w piekle, ty szatanie!
Nic się nie zmieni, wieczność się zaczyna,
A wieczność taka, jak śmierci godzina». Tak pożegnawszy resztki pana zgniłe,
985 Zapadła wiedźma w burzan, czy w mogiłę.

XXXVII.

- I znów na zamku jasnych światłał krocie,
Księżyc w ogrodach, szum kaskady w grocie;
I znów tam cicho, i kaskada grzmiąca
Znowu się srebrzy na blasku miesiąca.
990 Mówią, że łabędź i róża czerwona
Szeptać w powietrzu imię Eoljona,
Gdy wszystko ścichnie wieczorną godziną,
Gdy różę płaczą i łabędzie płyną.
A o dzieciatku tym z twarzyczką ducha
995 Została jakaś ciemna powieść, głucha.
Mówią, że raz go widziano w tej grocie,

w. 986: Ustęp XXXVII, ostatni, spełnia podwójną rolę: Jest artystycznym zakończeniem poematu, ale zarazem osobistym wypowiedzeniem się poety w swojej własnej sprawie, w kwestji trapiącego go ciągle zagadnienia jego życia: stosunku do ludzi, do narodu. Eoljon ma w sobie pewne zasadnicze (w różnych momentach życia) rysy duszy Słowackiego. W ustępie XXXII powiada o nim Wacław: »Lecz on kochał *nic*, on tęsknił *za niczem*, A jednak tęsknił i kochał« (w. 845—846), a takie określenie duszy Eoljona przypomina to, co Kordjan mówi o sobie w 4 scenie III aktu *Kordjana*: »Lecz ten smutek, to żalność dziecinna po *niczem*, Może po kraju«. I poeta więc i Eoljon »kochają — *nic*« i »tęsknią za *niczem*«. »Mówią jednak (a *cudy są wszędzie*), że raz go widziano w tej grocie« bajecznego ogrodu w Tulczynie, gdzie mu *duchy powietrzne przyniosły zapaloną harfę*, na której począł grać cuda natury, a potem *jaki narodu, bo cicho konać i cierpieć nie umie*. »A gdy śpiewaka pieśń i tony rosły«, podniosły się za nim łabędzie i poleciały za śpiewakiem, który opuścił ziemię »odkąd zabrakło już białych słuchaczy«, mogących zrozumieć zmianę zasadniczego tonu pieśni poety. Element fantastyczny zespolony z elementem osobisto-uczuciowym.

- Całego w gwiazdach, w promienistym złocie;
 Duchy powietrzne, za tęczową szarfę
 Przyniosły jemu zapaloną harfę;
 1000 Usiadł... do ognia strun przybliżył ręki:
 A pierwsze z harfy westchnienia i dźwięki
 Zwołały wszystkie łabędzie z ogrodu;
 A drugie tony, jak jęki narodu,
 Co cicho konać i cierpieć nie umie,
 1005 Zrobiły szelest w tym łabędzi tłumie;
 A gdy śpiewaka pieśń i tony rosły,
 Wszystkie się razem łabędzie podniosły,
 I poleciały płaczącym orszakiem
 W niebo gwiazdziste, z harfą, ze śpiewakiem.
 1010 I znikły, długo widziane na górze,
 Jak girlandami spięte białe róże,
 Ulatujące w niebieskie krainy,
 Dosłuchać harfy téj, i téj dzieciny.
 Nie wiem, czy wierzyć — lecz cudy są wszędzie...
 1015 I odtąd znikły w ogrodach łabędzie
 I szafirowych wód nie krają łonem,
 Bo poleciały wszystkie z Eoljonem.
 A Bóg nam wieszczów zostawiać nie raczy,
 Odkąd zabrakło już białych słuchaczy.

KONIEC

CENTRALNA BIBLIOTEKA PEDAGOGICZNA
 przy O.S.P.
 w Białymstoku

2072

Pierwsza seria

BIBLIOTEKI NARODOWEJ

obejmuje:

- Kochanowskiego TRENY, w opracowaniu prof. *Tadeusza Sinki* (Nr. 1)
 Słowackiego KORDJAN, w oprac. prof. *Józefa Ujejskiego* (Nr. 2)
 Kochanowskiego ODPRAWA POSŁÓW, w oprac. *T. Sinki* (Nr. 3)
 Niemcewicza POWROT POSŁA, w oprac. prof. *Stan. Kota* (Nr. 4)
 Lenartowicza WYBOR POEZYJ, w oprac. prof. *M. Janika* (Nr. 5)
 Mickiewicza POEZJE (Tom I), w opr. prof. *Józefa Kallenbacha* (Nr. 6)
 Słowackiego ANHELLI, w oprac. prof. *Józefa Ujejskiego* (Nr. 7)
 Towiańskiego WYBOR PISM, w oprac. prof. *Stan. Pigonia* (Nr. 8)
 Felińskiego BARBARA RADZIWIŁŁOWNA, w opracowaniu prof.
Marjana Szyjkowskiego (Nr. 9)
 Brodzińskiego O KLASYCZNOŚCI I ROMANTYCZNOŚCI, w oprac.
 owaniu prof. *Aleksandra Łuckiego* (Nr. 10)
 Mickiewicza DZIADY WILENSKIE, w opr. prof. *J. Kallenbacha* (Nr. 11)
 Żółkiewskiego PAMIĘTNIKI O WOJNIE MOSKIEWSKIEJ, w oprac.
 owaniu prof. *Wacława Sobieskiego* (Nr. 12)
 Słowackiego BENIOWSKI, w opr. prof. *Juljusza Kleinera* (Nr. 13/14)
 Kopernika WYBOR PISM, w oprac. prof. *L. Birkenmajera* (Nr. 15)
 Słowackiego LILLA WENEDA, w opr. prof. *Michała Janika* (Nr. 16)
 Mickiewicza KSIĘGI NARODU I PIELGRZYMSTWA POLSKIEGO,
 w opracowaniu prof. *Stanisława Pigonia* (Nr. 17)
 Krasińskiego PRZEDSWIT, w opr. prof. *Juljusza Kleinera* (Nr. 18)
 Potockiego WIERSE, w opracowaniu prof. *A. Brücknera* (Nr. 19)
 Mickiewicza DZIADY, CZĘŚĆ III, w opr. prof. *J. Kallenbacha* (Nr. 20)
 Pola PIESN O ZIEMI NASZEJ, w opr. dyr. *R. Zawolińskiego* (Nr. 21)
 Fredry SŁUBY PANIENSKIE, w opr. prof. *Eug. Kucharskiego* (Nr. 22)
 Czartoryskiej MALWINA, w opr. prof. *K. Wojciechowskiego* (Nr. 23)
 Krasińskiego NIEBOSKA KOMEDJA, w opr. prof. *J. Kleinera* (Nr. 24)
 Korzeniowskiego SPEKULANT, w opr. *K. Wojciechowskiego* (Nr. 25)
 POLSKA PIESN LUDOWA, w opr. prof. *J. St. Bystronia* (Nr. 26)
 Mickiewicza TRYBUNA LUDOW, w oprac. red. *E. Haackera* (Nr. 27)
 Korzeniowskiego KOLLOKACJA, w op. *K. Wojciechowskiego* (Nr. 28)
 Słowackiego KSIĄDZ MAREK, w oprac. *St. Turowskiego* (Nr. 29)
 Zaleskiego WYBOR POEZYJ, w opr. prof. *Józefa Tretiaka* (Nr. 30)
 Długosza BITWA GRUNWALDZKA, w opr. *J. Dąbrowskiego* (Nr. 31)
 Fredry ZEMSTA, w oprac. prof. *Eugenjusza Kucharskiego* (Nr. 32)
 Pola PIESNI JANUSZA, w opr. prof. *Józefa Kallenbacha* (Nr. 33)
 Brodzińskiego WYBOR POEZYJ, w oprac. prof. *Al. Łuckiego* (Nr. 34)
 Konarskiego WYBOR PISM POLITYCZNYCH, w opracowaniu
 prof. *Władysława Konopczyńskiego* (Nr. 35)
 Fredry PAN JOWIALSKI, w oprac. prof. *Eug. Kucharskiego* (Nr. 36)
 Ujejskiego WYBOR POEZYJ, w oprac. prof. *M. Janika* (Nr. 37)
 Blizińskiego PAN DAMAZY, w opr. *Dra Z. Nowakowskiego* (Nr. 38)
 Romanowskiego DZIEWCZĘ Z SĄCZA, w opr. *Dr. St. Lama* (Nr. 39)
 Reja WYBOR PISM, w oprac. prof. *Aleksandra Brücknera* (Nr. 40)
 Krasińskiego DOSWIADCZYŃSKIEGO PRZYPADKI, w opracowaniu
 prof. *Bronisława Gubrynowicza* (Nr. 41)

- Kraśińskiego IRYDION, w oprac. prof. *Tadeusza Sinki* (Nr. 42)
 Słowackiego MINDOWE, w opracow. prof. *Wiktora Hahna* (Nr. 43)
 Goszczyńskiego ZAMEK KANIOWSKI, w op. prof. *J. Tretiaka* (Nr. 44)
 Sowińskiego WYBOR POEZYJ, w opr. dyr. *Wł. Brydy* (Nr. 45)
 Malczewskiego MARJA, w oprac. prof. *Józefa Ujejskiego* (Nr. 46)
 Słowackiego POWIEŚCI POETYCKIE, w opr. *M. Kridla* (Nr. 47)
 SIELANKA POLSKA W XVII WIEKU, w opr. *A. Brücknera* (Nr. 48)
 Słowackiego TRZY POEMATY, w opr. prof. *Józ. Maurera* (Nr. 49)
 Goszczyńskiego KROLZAMCZYSKA, w opr. prof. *J. Tretiaka* (Nr. 50)
 Słowackiego BALLADYNA, w opr. prof. *Juljusza Kleinera* (Nr. 51)
 Pola MOHORT, w opracowaniu prof. *Aleksandra Łuckiego* (Nr. 52)
 Kraszewskiego STARA BASN, w opr. *K. Wojciechowskiego* (Nr. 53)
 Syrokomli WYBOR POEZYJ, w oprac. prof. *Fr. Bielaka* (Nr. 54)
 Kraszewskiego BUDNIK, w oprac. prof. *Wiktora Hahna* (Nr. 55)
 Mochnackiego O LITERATURZE POLSKIEJ XIX WIEKU, w opracowaniu prof. *Henryka Życzynskiego* (Nr. 56)
 Słowackiego SEN SREBRNY SALOMEI, opr. *S. Turowskiego* (Nr. 57)
 Kraszewski POWROT DO GNIAZDA, w opr. *W. Hahna* (Nr. 58)
 Galla-Anonima KRONIKA, w oprac. prof. *R. Grodeckiego* (Nr. 59)
 ŚREDNIOWIECZNA POEZJA POLSKA ŚWIECKA, w opracow. dra *Stefana Vrtel-Wierczyńskiego* (Nr. 60)
 Rzewuskiego LISTOPAD, w opr. prof. *K. Wojciechowskiego* (Nr. 61)
 Paska PAMIĘTNIKI, w oprac. prof. *Aleksandra Brücknera* (Nr. 62)
 Korzeniowskiego KARPACCY GORALE, w opr. *W. Hahna* (Nr. 63)
 Norwida WYBOR POEZYJ, w opr. prof. *St. Cywińskiego* (Nr. 64)
 ŚREDNIOWIECZNA PIĘSN RELIGIJNA POLSKA, w opracowaniu prof. *Aleksandra Brücknera* (Nr. 65)
 Mickiewicza POEZJE (Tom II), w opr. prof. *J. Kallenbacha* i prof. *J. Bystrzyckiego* (Nr. 66)
 Asnyka WYBOR POEZYJ, w opr. prof. *Eug. Kucharskiego* (Nr. 67)
 ŚREDNIOWIECZNA PROZA POLSKA, w opracowaniu prof. *Aleksandra Brücknera* (Nr. 68)
 Anczyca KOŚCIUSZKO POD RACŁAWICAMI, w opracowaniu prof. *Jana St. Bystronia* (Nr. 69)
 Skargi KAZANIA SEJMOWE, w opr. prof. *Stanisława Kota* (Nr. 70)
 Kraszewskiego DZIECIĘ STAREGO MIASTA, opr. *W. Hahna* (Nr. 71)
 Mickiewicza KONRAD WALLENROD, w opr. *J. Ujejskiego* (Nr. 72)
 Zimorowica ROKSOLANKI, w oprac. prof. *A. Brücknera* (Nr. 73)
 Mickiewicza GRAŻYNA, w opracowaniu prof. *Henryka Życzynskiego*, z wstępem prof. *Józefa Tretiaka* (Nr. 74)
 Potockiego WOJNA CHOCIMSKA, w opr. prof. *A. Brücknera* (Nr. 75)
 Słowackiego MAZEPA, w opr. prof. *Bron. Gubrynowicza* (Nr. 76)
 TOWARZYSTWO FILOMATÓW, w opr. prof. *Al. Łuckiego* (Nr. 77)
 Anczyca OBRAZKI DRAMATYCZNE LUDOWE, w opracowaniu prof. *Jana St. Bystronia* (Nr. 78)
 Mickiewicza PISMA ESTETYCZNO-KRYTYCZNE, w opracowaniu prof. *Henryka Życzynskiego* (Nr. 79)
 Trembeckiego WYBOR POEZYJ. SOFIOWKA, w opracowaniu *Władysława Jankowskiego* (Nr. 80)

Pedagogiczna
Biblioteka Wojewódzka
w Białymstoku

2077